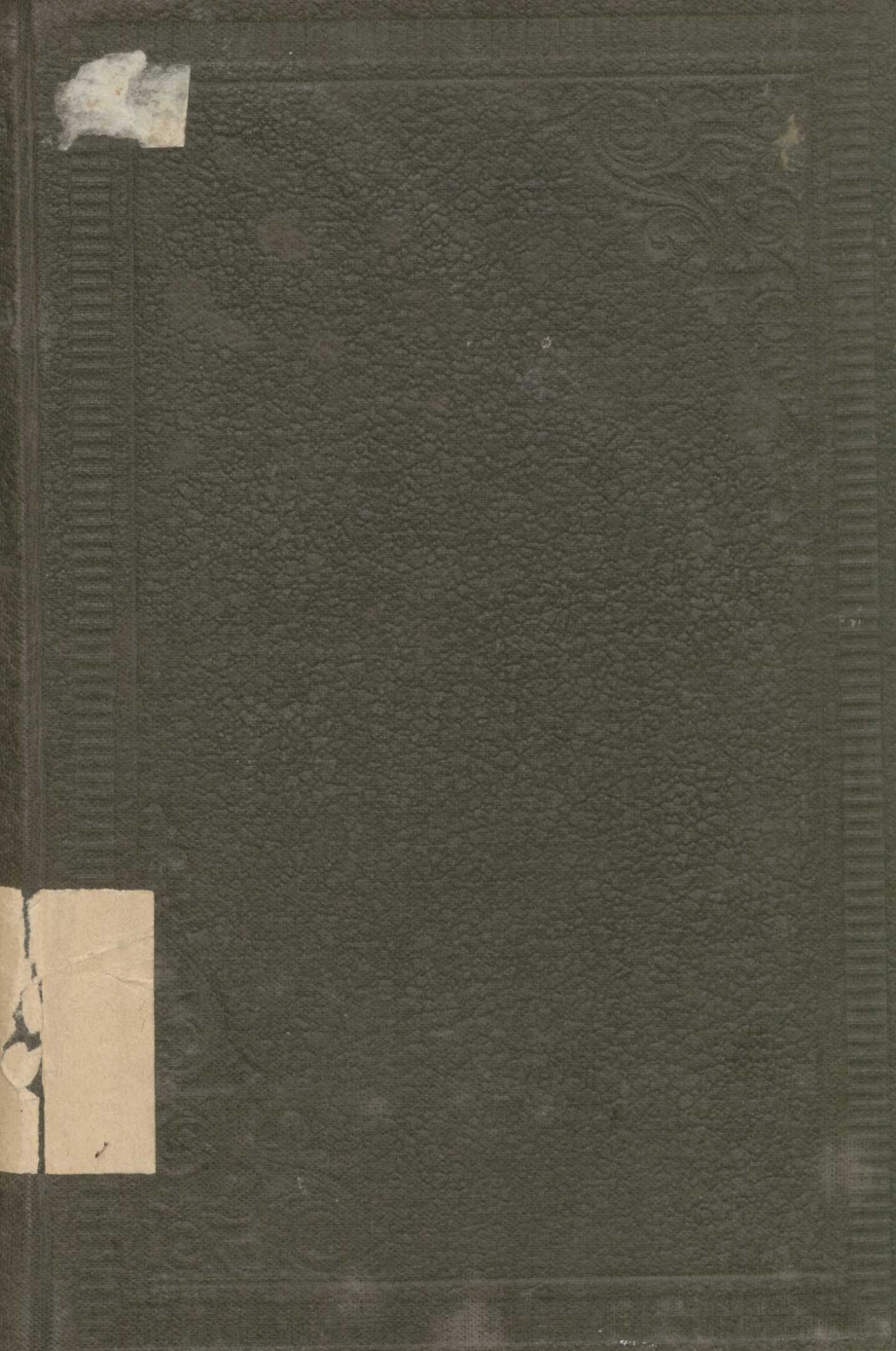








DODATEK POWIEŚCIOWY do „POGONI“

ZAMEK ZAWIEPRZYCKI.

Powieść historyczna

przez

Aleksandra Bronikowskiego.

TARNÓW.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA P.

1862



82-3

JW-5284

884-3



zobacz
zobacz

B

3413

-178720

4013

M. Spółnik:

1782

23/92

D/28/2018

Jeżeli czytelnik ze znajomym już po części przewodnikiem, zechce puścić się w okolice od wschodu Dnieprem, od zachodu rzeką Prosną oblane, niechaj czytając powieść niniejszą myślą przeniesie się do województwa Lubelskiego. W tymto obrebie nazwisko od głównego miasta biorącym, w jednej z piękniejszych okolic należących do dawniejszej Rzeczypospolitej, dziś Królestwem Polskiem nazwanej, nad brzegami rzeki Wieprza, na wzgórku pokrytym piękną zielonością, wznosi się zamek Zawieprzycy*). Ta strona chociaż nie wzbudza tak silnych uczuć, ani też wspaniałością swoją porównać się nie może z krainą nadreńską lub równinami Saskiej Szwajcaryi, są w niej jednak rozkoszne doliny, mile zaokrąglone pagórki, pokryte drzewami rozmaitego gatunku, niwy ozdobne bujno rosnącym zbożem i przeglądające się w błękitnych

*) Takie jest jego nazwanie od rzeki Wieprza, nad którą zbudowany. Wspomniona rzeka ma źródło niedaleko starego Zamościa, skąd upłynawszy przestrzeń blisko na dwadzieścia mil rozległą, wpada do Wisły w niewielkiej odległości od Puław, sławnych swoim ogrodem i świątynią Sybilli. Autor dodaje, iż mieszkając przez pięć tygodni w Zawieprzycach, na własne oczy oglądał ślady zaszłych wypadków w ciągu powieści wspomniane.

nurtach bystro płynącej rzeki. Żeby to miejsce za scenę powieści wybrane, łatwiej można było wyobrazić części czytelników, dla których szczególnie ta powieść napisana, powiem, iż łożysko rzeki Wieprza między Łęczną a Kockiem, wielkie ma podobieństwo do okolic Nossen i łąk Muldy. Sam zamek dumnie i okazale wznosi się ponad sąsiedzkie gór wierzchołki. Góra pod nim będąca, sztucznie skopana aż do samego brzegu rzeki, przedstawia naturalną spadzistość, niby jeszcze przed zbudowaniem zamku utworzoną. Rzeka zaś Wieprz drzewami i krzewiem osłonią, korytem swoim tworząc mnóstwo wysepek, sama dalej o kilkaset kroków pod kamiennym mostem z szumem przelewa się przez mocno splecioną zastawę. Z lewej strony zamku, tuż za głębokim wąwozem, chwieją się wierzchołki drzew odwiecznych, zdobiących przestrzeń za plac polowania dawniejszym mieszkańcom służącą; a naprzeciw w niejakijs odległości przy wiosce Kijany, także na znacznie podniesionem miejscu położonej, z taką gwałtownością wpada do Wieprza mała rzeczka Bystrzyca, że most na niej zbudowany bezustannie się chwieje. Tuż przy zamku na górze, jeszcze i dzisiaj znajduje się dobrze utrzymany ogród. W nim dopiero już później, podług zwyczaju naszych czasów porobiono cieniste szpalery, aż na równinę schodzące. Z boku widać trzy wysokie pagórki, ludzką

ręką usypane i noszące nazwę: „grobowców tureckich“; chociaż na jednym z nich, pomimo takiego nazwania stoi kaplica ozdobiona wysokim, mocno połączanym krzyżem, z daleka przy promieniach słonecznych do ognistego słupa podobnym. Co jednak pod tymi pagórkami zawiera się, to jest tak ściśle połączone z podaniami, opiewającemi powstanie zamku Zawieprzyc; że się ta zagadka na jaw wydać musi, wprzód nim w dzień sądu ostatecznego otworzą się mogiły Muzułmanów, również jak grobowce chrześcijańskie i nie odkrywają się lica przestępstw, chociaż ręka mćnych zbrodniarzy, wzniosłemi górami teraz je przytłoczyła. Sam zamek, jakkolwiek nosi cechę czasów feudalnych, coraz wprawdzie bardziej nienakłą, jest bowiem otoczony wyschłemi łożyskami kanałów, rozsypującemi się wałami i murem, tudzież próżnującemi teraz, zwodzonymi mostami; pomimo tego jednak niema na sobie piętna starożytności. Zapewne ten, co go stawiał chciał połączyć gust włoskiej architektury i na północy pod koniec XVII. wieku już upowszechniony, z potrzebą ubezpieczenia się, konieczną jeszcze w tamtych czasach każdemu wiejskiemu domowi polskich magnatów. Cztery ogromne wieże w czworokąt zabudowane, kończą jednostajnie zamkowe skrzydła szerokimi oknami i gankami opatrzone, a mury dolnego mieszkania niezwykłą swoją grubością

dają wielkie wyobrażenie o potędze i bogactwach tego, kto je wystawić potrafił, przez wzgląd, że w tym kraju mało jest kamieni.

Autor powieści, który mieszkał przez czas niejakiś w pokojach wzmiankowanymi murami otoczonych, powiada, że ponure i śmiałe ich sklepienia tym samym kształtem są zbudowane, jaki widzimy w starożytnych pałacach przedmieścia Saint-Germain w Paryżu. Z okien wyższych piąter urozmaicone widoki przedstawiają się oczom patrzącego; w głębi spostrzegać się daje rzeka Wieprz krętem płynąca korytem, tu i owdzie z ponad różnobarwnej zieloności pól uprawnych pokazują się niezliczone wioski, a spadziste wzgórki Łęczny wznoszą się w dali jak mgłą powleczone. Przez wierzch gęstego gaju kryjącego przed oczami miasteczko Lubartów, widać żelaznego rycerza olbrzymiej postaci. Jest to wizerunek herbu książąt Sanguszków, nad bramą ich zamku wzniesiony. Kiedy zaś dzień jest pogodny, widok wież oddalonego Lublina zdaje się kończyć tameczny widnokrąg.

Wewnątrz zamku najpiękniejszą i być może najdziwniejszą rzeczą jest sala na drugim piętrze. Ma ona postać długiego czworościanu z zaokrąglonymi kątami bez wymysłów wprawdzie, ale gustownie zbudowana a łączy się rzędem słupów z galeryą zwierciadlanemi oknami oświeconą.

W piękniejszych porach roku, okna galeryi dostarczają sali dosyć światła i powietrza, niedopuszczając jednak gorących promieni słonecznych; kiedy zaś lody i śniegi ziemię pokrywają, wówczas przenoszą tutaj kwiaty i zagraniczne rośliny, dla ubezpieczenia ich od zimna i wiatrów, przez co z sali robi się kwitnący i pełen zapachów ogród. Skutek stąd oczywisty, że ktokolwiek wejdzie do tak przyjemnego mieszkania, w uczuciach swoich rzeświejszy i weselszy być musi i zdaje się koniecznie myśleć powinien, iż to schronienie było zawsze siedliskiem uciech i szczęśliwości. A przecież nie tak to bywało; był czas, kiedy tę salę wspominano tylko w poufałych rozmowach, a służący dworscy z powodu rozmaitych powieści niechętnie do niej za dnia wchodzili, w nocy zaś wstrętem jakimś przejęci z daleka starali ją się omijać.

Jeszcze przed stu laty wisiał w niej obraz znacznej wielkości, bo nie małą część tylnej ściany pokrywający, lecz zdjęto go następnie i przeniesiono na dół do skarbca pomiędzy stare sprzęty. To też autor powieści, przypadkiem do owego skarbca zawędrowawszy, winien jedynie trafowi, iż może opisać czytelnikom to, co przedstawił pędzel mistrza włoskiego, lubo jak powiada, zmieniony koloryt i zepsute od wilgoci płótno, taką w obrazie sprawiły odmianę, iż nie bez trudności przedmiot jego rozpoznał.

Malowidło wyobraża dziedziniec zamkowy, będący placem całej sceny. Średnia część pałacu i jedno jego skrzydło zupełnie ukończone, tak jak za dni dzisiejszych. Drugie zaś tylko do poddasza doprowadzone, otaczają rusztowania i drabiny z mnóstwem ludzi wół nagich i nieprzyjemnej postaci; tak, iż sądząc z ich wydatnych rysów twarzy i płci ciemnej, możnaby wnioskować, że należą do jakiegoś cudzoziemskiego pokolenia. Na przedzie obrazu wymalowano wysokiego mężczyznę, w ubiorze polskiej szlachcie właściwym, żelaznym pancerzem uzbrojonego. Rysy jego twarzy surowe, a nawet srogie i ponure mało rozjaśnia szyderski uśmiech na ustach jego oznaczony. Jedną ręką, w której buławę hetmańską trzyma, wyciągnawszy w głąb obrazu, zdaje się napędzać robotników do pracy, a przełożonych nad nimi, aby im razów nie szczędzili. Dlatego też dozorczy grożą pracującym wskazując rozmaite narzędzia kary. Wzrok mężczyzny obrócony jest na dziewicę kształtnej postaci po cudzoziemsku ubraną. Klęczy ona u nóg jego z rozrzuconymi włosami i podniósłszy oblicze anielskiej piękności ale boleść i smutek wyrażające, zdaje się błagać o coś, pokazując na kilku ludzi w głębi stojących, przeciw którym rozkazodawca ściśnioną pięść wyciągnął. Wspomnieni ludzie są to dwaj służalcy przytrzymujący młodzieńca — turecki strój ubra-

nego; jeden z nich, starszy zapewne pomiędzy dworskimi, odznacza się porządniejszem ubraniem i brzydką twarzą, wyrazem tryumfującej złości napiętnowaną. Młodzieńcowi spadł zawój z głowy i dał się widzieć długie włosów pierścienie, co dowodziło, iż nie był muzułmaninem, chociaż z ubioru wnosząc, za Turka wzięćby go należało. Zdawał się on zmęczony długim oporem, lecz teraz stojąc spokojnie dowodził niejako postawą, że miałby sobie za hańbę, gdyby jednym słowem lub skinieniem prosił o litość nad sobą u owego okrutnika zarazem jednak spoglądał z czułością na dziewczę i wymawiał jej niby, że bezskutecznie i niepotrzebnie przed nim się uniża. Całość obrazu jest raczej znakomita poprawnością i wypracowaniem, niż pięknnością pędzla, oświecająca zaś scenę zorza wieczorna, tak jaskrawe światło i tak mocne cienie rzuca na główną osobę, że przy słabem świetle pokoku, gdzie obraz był widziany, patrzący mógłby pomyśleć, że malarz chciał przedstawić twarz tej osoby niby płomieniami piekielnymi otoczoną, a złudzone oko upatrywało, że jej rysy rzeczywiście poruszają się cudem jakimś ożywione.

Tymczasem dobrze już zciemniało się w skarbcu, nie mógł przeto autor powieści więcej jeszcze przypatrzeć się szczegółom dziwnego obrazu; nadto przyznaje się, że w tej chwili samotność części zamku przezeń tylko zamieszkałej,

nadzwyczajnie go uderzyła tak, iż spieszniej niż zazwyczaj poszedł na drugie piętro do wyżej opisanej sali, gdzie ówcześni mieszkańcy zamku na herbatę zbierać się zwykli.

Jeszcze tego samego wieczora wypytywał się on u Burgrabiego Zawieprzyc, jaką to historią owo malowidło przedstawiało? ale tym razem stary sługa nadzwyczajnie był milczący. Co większa, kiedy autor powieści powrócił około północy do sypialnego pokoju, spostrzegł wielki zewnętrzny zamek u drzwi skarbcza — to wyraźnie dawało poznać, że życzą sobie, iżby wszelkich dalszych badań zaniechał, gdyż one z niewiadomych przyczyn nie będą widziane łaskawem okiem.

Jednakże nie wszyscy dworscy w Zawieprzycach również byli skryci ile stary burgrabia; tu i ówdzie udawało się autorowi powieści zgłębić okoliczności, tyle ciekawość jego pobudzające, i z tego co mu jedni otwarcie, drudzy zaś pod hasłem sekretu powierzyli, następującą powziął wiadomość i tę czytelnikom udziela, pozwolewszy sobie nie dotrzymać tajemnicy.

Obraz opisany, jak to już pierwszej wspomniano, zdobił ścianę sali na zabawę teraz przeznaczonej; zwróciwszy uwagę, można po dziś dzień poznać miejsce, gdzie był zawieszony, chociaż od bardzo dawnego czasu stamtąd go zdjęto. Owa główna osoba obrazu, jest to założyciel

zamku Zawieprzyc, Jan Nepomucen Granowski, kasztelan lubelski i towarzysz broni króla Jana III. Sobieskiego. On to podczas wyprawy przedsięwziętej na obronę Wiednia, za waleczne czyny a szczególnie w nagrodę stanowczej potyczki, wygranej na czele polskiej jazdy przeciw Spahom, dostał w podarunku od króla dwa tysiące jeńców tureckich i właśnie ich rękoma wybudował zamek Zawieprzycki. Lecz że Granowski był bardzo srogim panem, to też przed skończeniem budowy zamku, tysiąc sto ludzi, z przyczyny okrutnego z nimi postępowania i nadto przesilonej pracy, uległo pod jej ciężarem. Ciała ich zagrzebano pod pagórkami, noszącymi nazwisko grobowców tureckich. Kiedy zaś czas zamiany i okupu jeńców nastąpił, mała ich liczba i to w najopłakańszym stanie będąca, ciężką niewolę porzuciła. Porta zaniósła skargę na Granowskiego, a wtenczas król i zebrane stany surowe dali napomnienie kasztelanowi, wyrzucając mu w oczy niegodziwość jego postępowania. To jakkolwiek małe ukaranie do tego stopnia poburzyło pychę pana Zawieprzyc, iż w uniesieniu wypowiedział domowi Sobieskiego długoletnią przychylność i postanowił usunąć się od wszelkich interesów państwa i od niewdzięcznych, jak mówił współziomków. W samej rzeczy dotrwał w swoim postanowieniu; lecz gdy dla rozerwania nudów i samotności wiejskiego mieszkania, cały

czas na hucznych biesiadach trawić począł, takie beczynne życie zrobiło go jeszcze zapalczywszym i bardziej ponurym. Wtedy to przyszło mu na myśl przekonać rodaków, że szydzi z napomnienia danego przez króla i stanu rzeczypospolitej: w tym celu przedsięwziął tyrańskie swoje postępowanie w obrazie kazać przedstawić, co też uskuteczniając, sprowadził do Zawieprzyc Włocha malarza niedawno z zagranicy do Warszawy przybyłego. Lecz zaledwo malarz ukończył obraz i zawiesił go na przeznaczonem miejscu. Granowski bardziej jeszcze stał się dzikim i odludnym, tak, że otaczające osoby spoglądały na niego jak na pastwę bezustannych niepokojów i zgryzoty. Malarz stał się przedmiotem jego nienawiści, słyszano pomiędzy nimi ostrą kłótnię, a wkrótce po niej Włoch zniknął z Zawieprzyc i żadnego śladu powziąć nie można było, gdzieby się podział. Lecz kto to był ów młodzieniec w tureckim ubiorze i owa dziewczica na obrazie wymalowana, tego autor powieści dośledzić nie mógł: niektórzy tylko z wypytywanych robili wnioski, iż to wyobrażenie oznaczało zapewne okrutniejsze jeszcze i bardziej tajone przestępstwo kasztelana, niżeli wiadome całemu krajowi postępowanie jego z tureckimi jeńcami, przy czem i tę robiono uwagę, iż bardzo być może, że nie same tylko kości Turków spoczywają pod pagórką, na którym wybudowano kaplicę z krzyżem, gdyż taka

ozdoba byłaby niewłaściwą na grobowcu niewier-nych. Nakoniec wiele osób powiadało, że obraz, albo połączone z nim okoliczności, sprawiły nagłą śmierć kasztelana, bo ta, wyznać potrzeba, ze szczególniejszego nastąpiła wydarzenia.

Jest w Zawieprzycach urządzenie, jakie au-
torowi powieści tu i ówdzie widzieć się zdarzyło,
następującego składu: od samego dołu aż do naj-
wyższego piętra budowy, wznosi się drewniane
przepierzenie w kształt czworościennej wieży, zbu-
dowane i przyparte do ściany; wewnątrz znajduje
się krzesło zawieszone na linach, tak urządzone,
że podług upodobania można na niem w górę
windować się, albo też na dół się spuszczać. Przy
każdem piętrze zrobione są osobne drzwiczki, przez
które obciążeni wiekiem, osłabieni chorobą, albo
po prostu miłośnicy wygod, bez najmniejszego trudu
z jednego piętra na drugie podług woli dostawać
się mogą. Pewnego wieczora, jak niesie podanie,
kasztelan Granowski wyszedł z małej sali szcze-
gólniej poruszony i piorunującym głosem wołał
na ludzi przystawionych do windowania krzesła,
żeby go na dół spuścili. Służący byli już gotowi
spełnić dany im rozkaz, gdy wtem kasztelan otwo-
rzywszy drzwiczki strasznym głosem wymówił na-
zwisko włoskiego malarza i w tej samej chwili
chcąc usiąść na krześle, nie trafił na nie dziwnym
a prawie niepojętym przypadkiem, lecz z ogromnym

łoskotem zleciał przez drewnianą wieżę aż na kamienny pomost najniższego piętra, skąd wydobyty wkrótce zakończył życie, miotając tak okropne przekleństwa, iż na samo ich wspomnienie włosy się jeża. Czeladź Zawieprzycka twierdzi, iż od czasu śmierci Jana Granowskiego, zamek, a szczególnie mała sala zostały siedliskiem duchów. Nieraz, jak mówią, w nocnej porze dawały się słyszeć jęki kobiece, przerywane dzikim, szyderskim śmiechem i groźnemi słowami, przypominającemi głos dawniejszego pana zamku, poczem następowała żwawa kłótnia we włoskim języku, w której rozpoznawano głos włoskiego malarza, co gdzieś zniknął niedocieczonym sposobem. Tymczasem przez ciąg całej wrzawy okna galeryjne jaśniały jaskrawym płomieniem, aż z wioski Kijan spostrzegać się dającym; duszące pary przeciskały się przez ich szczeliny i od tych jadowitych wyziewów uschło drzewo jodłowe, tuż przy galeryi do dziś dnia stojące. Lecz nie dosyć na tem; wrzawa szerzyć się poczyniała po całym zamku, a szczególnie w tej stronie, gdzie było krzesło windowane. Ktoś okropnym głosem wymawiał imię włoskiego malarza, aż nareszcie wszystko kończyło się wielkim łoskotem, jakby od upadku człowieka ogromnej postaci sprawionym. Jednem słowem, z przyczyny takich rozruchów żaden prawy katolik w zamku mieszkać nie mógł.

Stąd też i dziedzic kasztelana zawładnąwszy jego majątkiem, bardzo krótko mieszkał w Zawieprzycach i to przez czas swojego pobytu nieraz uciekać się musiał do plebana Firlejskiego, człowieka jak mówią arcyuczonego i wielkiego *płoszyciela duchów*. Dodają także, iż tenże dziedzic, zapewne wskutek rady uczonego plebana, kazał wystawić wspomnianą kaplicę z krzyżem, a sam na zawsze zamek i jego okolice opuścił. Stąd, kiedy to pobożne dzieło zostało spełnione, już nie co noc jak, pierwaj, ale peryodycznie raz na rok hałas dawał się słyszeć, to jest zaczynał się przed północą w dzień świętego Bartłomieja i trwał wciąż dalej przez dwanaście nocy. Ponawiało się to niezmiennie, póki cały majątek kasztelana Granowskiego nie dostał się obcej familii i dopóki nowy dziedzic nie kazał przenieść tajemniczego obrazu do skarbcza, gdzie dotąd wisi i gdzie, jeśli się z nim dzieje co szczególniejszego, tego przecież w drugich częściach zamku żadne ślady spostrzegać się nie dają.

Jeden ze służących, bardziej nad innych zniewolony namowami autora powieści, wynurzywszy się z tego wszystkiego co wiedział, zadał mu pytanie, czyli on też nie dostrzegł czegoś szczególniejszego we włoskiej sali? (tak ją bowiem już z przyczyny budowy, już to z innych powodów nazywano), a otrzymawszy odpowiedź, że nie; zaczął

dowodzić, iż pomimo wszelkich starań, żadnym sposobem nie można było zamalować miejsca, gdzie obraz wprzód przez tak długi czas był zawieszony. Panowie zamku, mówił on, wielokroć kazali sąłę tynkować i bogato złocić, mimo to wszystko jednak miejsce niegdyś przez obraz zajęte zostawało ciemne i wielokolorowe, a i niedawno, chociaż nieboszczyk mąż terażniejszej naszej pani, kazał pokryć całą ścianę tynkiem kilkocalowej grubości, chcąc przez to zniszczyć pamiątkę dawniejszych postrachów, przecież i to nie na długo pomogło, jak o tem sam pan w każdej chwili przekonać się możesz.

I w samej rzeczy autor powieści przyznaje że pierwaj już nieco uważał na ścianie piękną płaskorzeźbą ozdobnej, ciemną plamę, podobną do takich, jaką po sobie świeże zamurowanie zostawia, czem i teraz tłómaczył sobie owę nierówność, uderzającą w oko każdego patrzącego.

Niema potrzeby dociekać, czy to sąsiedztwo z tajemniczym obrazem i wiadomość, że coś dziwnego dźać się z nim może, czyli też inne jakie powody działy, że pobyt autora powieści w zamku nad Wieprzem nie nader mu był przyjemnym; dosyć jest powiedzieć, że wkrótce opuścił on pałac Jana Granowskiego, nie udzielając tego, co mu się odkryć udało owoczesnym mieszkańcom zamku; bo chociaż familia jego założy.

cieli i podania^o o niej zupełnie ich nie obchodziły; zawsze jednak takie odkrycie mogłoby przyczynić damom niepotrzebnej niespokojności. Z drugiej strony autor powieści miał najmocniejszy zamiar, przez ciąg swojej bytności w tamecznych okolicach cały tydzień trwać jeszcze mającej, skądbydz pewniejszą powziąć wiadomość o założycielu zamku Zawieprzyckiego i jego postępках.

ROZDZIAŁ II.

Ponieważ służący dworscy w opowiadaniach swoich wspominali, iż ówczesny pleban Firlejski był jedynym powiernikiem młodego Granowskiego, spodziewać się przeto należało, iż najlepsze objaśnienie owych dziwnych wypadków znaleźćby można w spadkach po plebanie pozostałych, jeśli te przez tak długi czas przeciąg dotąd nie zaginęły. Już po części o wzmiankowanym pasterzu dusz pobożnych autorowi powieści skądinąd zdarzyło się słyszeć, a o osobliwościach jego plebanii wiele wyczytał w ogromnych foliach dzieła, nazwanego *Theatrum mundi* (którego, mówiąc między nami żaden czytelnik dotąd jeszcze doskonale nie pojął), nie tajno mu nareszcie było i to, że jeszcze i dotąd trwają zabytki osobliwości za czasów plebana nastających. Tysiące łacińskich napisów, częścią zdumiewającym poetyckim geniuszem starego plebana utworzonych, częścią wyjętych z dzieł rzymskich poetów, lub też Ojców Kościoła z pierwszych wieków chrześcijaństwa, teraz tylko na kartach wspomnianej księgi spisane, dawniej w zupełnym

nieładzie, zdobiły ściany samej plebanii, również jak kalwaryjskie góry, święte kaplice i pogańskie świątynie pomieszczone razem na małej przestrzeni ziemi i jedne prawie na drugich zbudowane, ale za to doskonale nie zbyt obszerny ogród napełniające. Przeciąg więcej niż ośmdziesięciu lat zniszczył stan dawniejszej ich świetności, ręka czasu starła napisy, a szczątki budowy mchem się pokryły; ślady ich jednak do naszych dni doszły zawsze są pomnikiem niezwykłej dążności umysłu owego człowieka, któremu niestety nietrwały był swój winny.

Gdy obecne okoliczności powołały autora powieści do Firlejów, nie omieszkał on odwiedzić tamecznego plebana, chcąc przez to przybliżyć się do źródła swoich badań względem swietnego, od dawna już wygasłego domu, którego członkowie bliżej kiedyś dadzą się poznać czytelnikowi lubiącemu przypatrywać się obrazom dawnych Sarmatów.

Teraz w dalekim następcy ojca Stefana znalazł nasz autor uprzejmego gospodarza, który z ochotą pokazywał mu trudne do odgadnienia szczątki fantastycznych tworów poprzednika swego i gdy mowa wszczęła się o tem, co się działo w Zawieprzycach, więcej niż przed wiekiem,—nie tylko wyznał, iż w bibliotece, przezeń posiadanej, zawierają się wiadomości owych czasów sięgają-

ce, ale zaraz nazajutrz przysłał naszemu autorowi kilka zwojów pergaminowych, wydobytych zapewne nie bez trudu z pomiędzy zapyłonej kupy innych starych rękopismów.

Z treści udzielonego sobie skarbu autor osnował niniejszą powieść i poświęcając ją czytelnikowi sądzi rzeczą potrzebną przeprosić, iż czasami używa wyrazów samego plebana; lecz zastrzega, że to z tego jedynie stało się powodu, iż ich właściwość okolicznościom powieści nie raz odpowiadać zdaje się; lubo zresztą usunął niezliczone łacińskie wierszem i prozą napisy, jakimi stary pleban zdobił nietylko zabudowania ale i pisma swoje.

Pierwszy zwój tak się zaczynał:

„W dzień *Sancti Bartholomei* roku Chrystusowego tysiąc siedmset dwudziestego piątego, a dwudziestego siódmego roku panowania Najjaśniejszego Pana, Augusta II. Króla polskiego i t. d. książęcia saskiego, arcy-marszałka świętego państwa rzymskiego, Elektora i t. d.

Tak więc ja Stefan Odonicz, niegodny sługa bōży, katedry Lubelskiej *Canonicus minor* i pleban firlejski, spełniłem dzisiaj znowu pobożną powinność, od tylu lat dobrowolnie przezemnie i na mnie włożoną, to jest odprawiłem Mszę świętą za duszę tych, których domierzone przestępstwa i spełnione niegodziwości więcej ugniatają, niż eli

wielocetnarowe kamienie na ich grobach leżące, gdyż z pod takich ciężarów łatwo oni powstają jak lekką poduszkę barkami je swojemi na bok odkładając, aż chyba godzina uderzy, iż znowu do cichego grobu powrócić muszą. Dziś mnie jednak w owymto dniu tajemniczym, w czasie pełnienia służby bożej, dziwne się rzeczy wydarzyły; stąd też nie tak jak zawsze wesoły w duchu, ale zdumiony i powątpiewający, przybytek święty opuściłem. Zdawało się mi (czego jednak służący kościołowi nie dostrzegli) że *owi trzej* dobrze mi znajomi, z malującym się smutkiem na bladych twarzach, przesuwali się po bokach, a jeden z nich bardzo boleśnie na mnie spoglądał i potrząsał głową, jakby coś przeczył i okazywał, że żadnej nie spodziewa się pociechy. Starąłem się bardziej wzniesć ducha ku niebu; modlitwa moja była gorętsza, ale poznałem, że jeszcze nie nadszedł dzień w którym spełnić się mają słowa *requiescant in pace* i odszedłem. Zewnątrz kościoła przy ścianie stał ten, co nie śmie zapewne wstąpić do przybytku Pana zastępów. Twarz jego jaśniała po nocy odbiciem płomieni krwawego koloru, tak jak się to na *owym* obrazie dostrzedz daje;—położyłem znak krzyża świętego i rzekłem pobożnie:—Panie odpuść nam nasze ukryte grzechy. — Wtedy dało się słyszeć przy mnie bolesne westchnienie owej straszliwej postaci, a przecież wy-

dało się mnie ono raczej podobnem do szyderskiego śmiechu ze zgrzytaniem zębów. Powróciwszy do domu zapisałem to wydarzenie, dnia zaś jutrzejszego zamyślam udać się do zamku Zawieprzyckiego, żeby dowiedzieć się co słychać?."

Na drugiej stronie karty pergaminowej było to, co następuje:

„Dnia dzisiejszego po mszy przyszedł do mnie młody pan August, syn mojego kollatora, Jaśnie Oświeconego księcia Lubomirskiego, tutaj nauki swoje odbywający, póki nie wyjedzie do Uniwersytetu paryzkiego i gdym go uczęstował śniadaniem, na jakie zwyczajnie dem proboszcza zdobyć się może, prosił on mnie, żebym go do ogrodu zaprowadził, dla przypatrzenia się nowemu snycerstwu i odczytania świeżo przezemnie wymyślonych *inscriptions*. Pokazałem mu tedy górę *Parnassus cum Apolline et Musis* graniczącą z tuż obok położoną ostatnią stacją Zbawiciela i Pana naszego*). Parnas jak najstaranniej jest obsadzony w około palmami, mirtem i laurowem drzewem czyli, że te *egzotyczne* rośliny w naszym klimacie nie udają się, musiałem naśladować je strzyżoną paprocią tudzież gałązkami bukszpanu i drzew wiśniowych stosownie z owemi *figuris*. Pełno tu napisów, *atque* wyjątków z ukochanego *P. Ovidii*

*) Ow wyjątek z opisanja ówczesnego ogrodu plebanii firlejskiej wcale nie jest zmyślony

Nasonis: miałem tylko tę uwagę, iż dla lepszej zrozumiałości i wdzięku rymami je przyozdobiłem, tak, iż tym sposobem łatwiej *in succum et sanguinem* rozumu naszego zamienić się mogą. Gdy zaś młody August, jako chciwy nauki *alumnus*, wielką chęć okazał bliżej poznać owe *curiosa*, dałem mu wedle mojego zwyczaju należytą naukę, najusilniej zalecając, ażeby pomiędzy wszystkimi *Ca-moenami*, zawsze *Clio et Urania* pierwszeństwo u niego miały, przez wzgląd, że tych cześć najbardziej jego stanowi przystoi. Po ukończeniu tej sokratycznej z małym Augustem rozmowy, która nie wiem czy więcej nad półtorej godziny trwała, poprowadziłem go dalej o kroków piętnaście, gdzie było wyobrażenie męczeństwa świętego Paulina z wielkim trudem i niemałym poruszeniem umysłu przezemnie dokonane. Ten widok potrafił mocne wrażenie uczynić na młodym i szlachetnym umyśle, chociaż dla braku miejsca wypikowane z desek figury, a potem malowane, samo tylko popiersie wyobrażały; lecz z drugiej strony mogę powiedzieć, że ten niedostatek był nagrodzony sztuczną mozaiką z muszel i kamyków tudzież bukietami krzewów.

Że nie bez pewnego zamiaru przedsięwziąłem niegdyś owo dzieło sztuki i że przytomny był mi w umyśle jego *orginalium*, pytałem przeto pana Lubomirskiego, co on o tem sądzi, na co mi od-

powiedział, że rzymski prefekt Lucius bardzo obmierzłym i odrażającym mu się zdawał. Te słowa nie małą mi pociechę w duszy przyniosły, przekonywałem się bowiem oczywiście, że trafnie wyobraziłem wzór w pamięci mojej będący, a wszakże ten sam wzór również odrażający jest przedstawiony i na wiadomym mnie obrazie. To dało mi powód do rozmaitych nowych ostrzeżeń i napomnień, jak to on ma postępować, żeby podobnym nie został rzymskiemu prefektowi, którego w obrazie widzi. Gdy mi odpowiedział, że niebo tak go nie zechce skarać, iżby on kiedyś do owej poczwary miał być podobnym, pochwaliłem go za to i starałem się dać mu poznać, że ci, co wiedzą o tem, a przeciwnie postępują, podwójną odbiorą karę, jak to tego nie jeden straszny przykład dowiódł i jakiego niezbyt daleko od nas szukać potrzeba. Wkrótce potem młody mój kollator pożegnał mnie, poleciłem się przezeń dalszym względem i łasce ciotki jego, księżnej Sapieżynej, był bowiem przez nią tego dnia do Kozłowska na polowanie zaproszony, a sam w imię Boże puściłem się w przedsięwziętą drogę.

Przybywszy do Zawieprzyc zjadłem naprzód wieczerzę u miejscowego wikaryusza, a potem poszedłem na zamek. Tu na nieszczęście widziałem potwierdzenie tego, co mi się w kościele przywidziało. Tej nocy nieład w zamku był daleko

większy niż kiedykolwiek, cała czeladź wyniosła się z niego i przyszedłszy do mnie z płaczem, narzekała, że niepodobna było mieszkać w tych zaklętych murach, bo od czasu kiedy z woli bożej stary burgrabia zamku zszedł z tego świata, przybył jeszcze jakiś nocny burzyciel pokoju. Oświadczało przeto, że teraz postanowili wszyscy razem zamek opuścić, gdyż zapewne ich dziedzic nigdy już do Zawieprzyc nie powróci; ostatnie listy uwiadomiły, że teraz w Rzymie się znajduje, ale że rozmaite wieści szerzą się o nim; jedni bowiem twierdzą, że w klasztorze św. Trójcy pozostał na zawsze i że tu duchowną sukienką przyodziać się zamyśla, drudzy zaś mówią, że złożony śmiertelną chorobą każdej godziny śmierci się spodziewa. Ile mogłem uspakajałem służących duchowną pociechą i namawiałem do dalszej cierpliwości, a potem rzuciwszy okiem politowania na ową wspañiałą budowę, gdzie po krótkiej nader przyjemności jęk i przekleństwa nastąpiły, wzniosłem gorącą modlitwę do Boga, polecając Jemu ostatnią latorośl tego domu, którego najpiękniejsze kwiatki wcześniej od^{przez} tchnienia grzechu powiędły. Sam zaś wróciłem do zacisza plebanii firlejskiej podziękować Niebu, iż wolno mi znajdować rozkosz w rzeczach niewinnych, nikomu szkody a niejednemu pożytek przynieść mogących, tudzież spokojnie wypełniać obowiązki duchownego powołania, a tem

samem przynosić ochłodę i pomoc biednym cierpiącym duszom.”

Wyczytywanie tego, co się powiedziało w późną noc przeciągając się, wiele opowiadaczowi czasu zajęło, gdyż nadto wykwintne litery starego księdza, tudzież wybladły atrament, nie tak prędko ową dziwną powieść czytać pozwalały, z jaką łatwością czytelnik teraz przebiedz ją może. Odłożył więc autor powieści aż do dnia następnego dalsze zatrudnienie i udawszy się na spoczynek, zasnął prędko i spokojnie.

Nazajutrz gdy dokończył główną czynność, co go w te strony ściągnęła, wzbudzona lecz nieuspokojona ciekawość przywołała go znowu do plebanii; życzył on sobie jakimkolwiek sposobem odkryć zabytki wizerunku męczeństwa św. Paulina, o którym ksiądz Stefan wspominał, zwłaszcza, że ono miało mieć związek niejakiś z historią zamku Zawieprzyc, jak o tem z niektórych słów rękopismu wnosić wypadało.

Po wzajemnych powitaniach i rozmowie z plebanem, który się chciał dowiedzieć, jak wiele z powierzonych sobie papierów skorzystano, autor powieści starał się zwrócić rozmowę na wspomnianą grupę męczeńską i prosił swojego gospodarza, żeby mu raczył dopomódz w jej wynalezieniu. Gospodarz słuchał go z uśmiechem, sądząc, że nie należało się spodziewać, ażeby z wątko matery-

ału zbudowany pomnik mógł po tak znacznym przeciągu czasu w tym jeszcze pozostać stanie, iżby coś z pewnością o jego znaczeniu wyrokować można było.

Zresztą, mówił on dalej, chociaż ja z mojej strony dosyć skrupulatnie oszczędzałem zabytki, co się utrzymały do początku mojego tu panowania, ale jak to pan mogłeś uważać przy pierwszym wstępie do ogrodu, niektórzy duchowni następcy czcigodnego Odonicza, a moi poprzednicy niezbyt z tego względu ubiegali się o pochwałę. Niejeden z nich wyżej ceniąc rzeczywistość, niż niknące ślady osobliwszej fantazyi, przeniósł warzywo ogrodowe nad pseudo palmy i laury ojca Stefana. Nie przysięgłbym i na to, czy Apollo z dziewięcią Muz nie posłużył kiedy podczas zimy na utrzymanie ognia w kominku, gdy tymczasem inne świętości samowolnie z pogańskimi pamiątkami pomieszane, z kruchych będąc utworzone materyałów, zostały łupem znikomości i nietrwałości swojej. Jednak, jeśli się podoba, pójdziemy obejrzyć to wszystko własnymi oczyma, może też szczęście sprzyjać nam będzie.

Pleban prawdę powiedział, jedynym śladem kalwaryjskiej góry były leżące przy ostatniej stacyi trzy krzyże na kamieniu wykute. Parnas zapadł także, a na jego miejscu bujno rosnące zielska dumne z dawności panowania swego wzniosły się wysoko po nad głowy kapusty i nać kartoflową, a tylko stare, na

pół już uschłe wiśniowe drzewa, zdradzały miejsce, gdzie niegdyś wznosiła się karla Muz świątynia. Wszystko to jednak nie długo zajmowało uwagę naszego badacza. Przystępując do dzieła podług słów rękopismu, chodził on we wszystkie strony mierząc po piętnaście kroków od miejsca gdzie był Parnas. Daremne przez czas niejakiś poszukiwania nie bez skutku zostały, znalezione miejsce pokryte było tłuczonymi skorupami i kamykami. Pozór dawał domniemanie, że Paulinus i jego kochanka w tem właśnie miejscu byli spokojnemi sąsiadami Bogów pogańskich, chociaż rzeczywiście kiedyś na ich ołtarzach męczeńską ponieśli koronę.

Część kunsztownych urządzeń, któremi Stefan Odonicz starał się pokryć niedostatki swojego wizerunku, wisiała jeszcze przy murze; z pomiędzy nich było coś podobnego do kurulskiego krzesła u Rzymian. Rzecz oczywista, że gdzie krzesło, tam i Pretor niedaleko być musiał. Jakoż w samej rzeczy pleban i gość jego z pod do połowy opadającego muru i ścielących się zielsk, choć nie bez trudu wyciągnęli z niej deskę wcale dziwnego kształtu na piętnaście cali długą. Że ona postać ludzką kiedyś wyobrażała, z tego tylko jedynie poznać mogli, iż szczęśliwym trafem na profil rznietą była; bo co sztuka malarska na niej wyobraziła, wiatry i deszcze od dawna wygluzowały. Atoli bliżej przypatrując się spostrzegli, że

brunatnym kolorem pomalowana być musiała, zapewne przez naśladowanie odbicia jutrzeńki wieczornej, nadającej tak straszne wyrażenie rysom Jana Granowskiego na znajomym nam obrazie wymalowanego. Postać pretora, jak się domyślać można, była nader odrażająca, stąd też nie należy mieć za złe młodemu Lubomirskiemu, że nie chciał być podobnym do owego straszego Rzymianina, ale razem i to powiedzieć można, że pycha, z jaką szanowny Stefan dzieło swoje wspomina, nie bardzo jest sprawiedliwą, bo chyba tylko przed oczyma własnej wyobraźni, mógł on odkryć niejakiś podobieństwo między swoim bohą a obrazem włoskiego malarza. Nie szczególnie zadowolony tem, co się znaleźć udało, autor powieści opuścił ogród pasterza firlejskiego w nadziei, iż w dalszych rękopismach jego poprzednika wynajdzie to, czego z dzieł snycerskich dojść nie mógł.

ROZDZIAŁ III.

Drugi zwój pergaminowy większy nieco od pierwszego związany z wielu zapisanych listów, służył za tekę dosyć znacznemu zeszytowi. Co się zaś w nich znajdowało, następujące wyjaśnia opowiadanie.

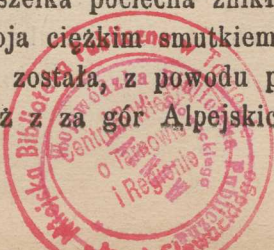
„W plebanii firlejskiej pierwszego dnia Bożego Narodzenia, roku pańskiego tysiąc siedmset dwudziestego piątego na pół godziny przed północą“.

„Przed kilkoma chwilami powróciłem z Radzyna, gdzie na zamku Jaśnie Wielmożny Pan Sieniawski, wojewoda podlaski, syn ś. p. — Boże świeć nad jego duszą, przeznaczonego hetmana, wspólnie z panią swoją małżonką obchodzili uroczystość Bożego narodzenia i podług starego zwyczaju przygotowali kolędę. Było u nich wiele znakomitych gości, a między innymi Jaśnie Oświecona Pani kanclerzyna Lubomirska z Radzyna,¹ razem ze swoim synowcem, a moim młodym patronem, był i starosta kocki, siostrzeniec kasztelana lubelskiego, książę Jabłonowski, (ten panicz w młodym

wieku jeszcze będący, obiecuje jednak być mądrym *et in literis* biegłym panem) znajdował się także Jaśnie Wielmożny biskup Chełmski; z nim jednak nie miałem szczęścia rozmawiać, z przyczyny zaszłego nieporozumienia między nim a katedrą lubelską i kapitułą, w której ja jestem nikczemnym sługą bożym i kanonikiem. Oprócz nich byli panowie z Tęczyna: Ossoliński na Włodawie i pan z Lubartowa“.

„Chociaż w owem miejscu dobrze się bawiłem i mógłbym pochlubić się wieloma grzecznościami i uprzejmem przyjęciem znakomitszych osób, z duszy jednak rad byłem z powrotu do mojej smutnej celi i do spokojnego zacisza, tyle dla mojego wieku potrzebnego, zwłaszcza, że się jeszcze przygotować musiałem do spełnienia obowiązków mego stanu, jakie pomimowolnie w pierwszy dzień Bożego narodzenia wikaryuszowi powierzyłem, a to jedynie z powodu wspomnianych za-prosin, zaiste bowiem, chociaż więcej słuchać potrzeba Boga, aniżeli ludzi, jednakże i z drugiej strony należy oddać hołd wdzięczności za łaski świadczone przez możnych panów i opiekunów duchowieństwa“.

„Ale teraz wszelka pociecha znikła dla mnie zupełnie, dusza moja ciężkim smutkiem dotknięta, głęboko poruszona została, z powodu pisma przy-słanego do mnie aż z gór Alpejskich, ze świę-



tego miasta Rzymu. Lecz że to, co stamtąd do nas dochodzi, w woli i upodobaniu boskiem ma swoje źródło, niech się więc spełnia święte przeznaczenie, mnie zaś szemrać na nie nie wypada. Gdybym to pismo wczoraj odebrał, nie byłbym zmuszony unikać natarczywych pytań zadawanych mi przez młodzież i podżyłe panie wczorajszego towarzystwa; mocno bowiem na mnie nalegali, żebym im odkrył nie tajne dla mnie szczegóły o zamku zawieprzyckim i o teraźniejszym pobycie mojego pana i przyjaciela *Teofili Granovii* starosty urzędowskiego i janowskiego. Lecz, czy mogłem wyjawiać tajemnice, kiedy ów życzył sobie, iżby dokładna wiadomość o zaszłych w zamku przestępstwach ukrytą była przed światem, aż do jego śmierci i dopóki ród jego zupełnie nie wygaśnie? Co przecie myślałem, nie tak się prędko stanie, czyli raczej życzyłem, żeby się nie stało, bo on był arcy-szanownym panem i moim dobroczyńcą,

„To czego się dowiedziałem z pism nowo przezemnie odebranych, nader mocne na mnie zrobiło wrażenie, tak, iż czuję się niezdrowym i niezdolnym do spełnienia obowiązków powołania mojego dotyczących się, iż nic już nie wspomnę o światowych powinnościach; gdy jednak to ma posłużyć dla chwały bożej i dla pożytku biednych dusz, nie przystoi odrzucać włożonych na mnie

obowiązków, lecz starać się należy wypełnić je podług możności słabych sił moich“.

Tyle tylko było napisano na pierwszej ćwiartce pergaminu, plik zaś do niej wszyty rozpoczął list w łacińskim języku pisany następującego znaczenia :

„Szanowny i ukochany w Bogu katedry lubelskiej *Canonice minor* i proboszczu firlejski!

„Ponieważ za niezbędną powinność uważa się wypełniać żądanie umierających, o ile to kanonom kościelnym przeciwne nie jest, My, przeor i starsi konwentu, *Della sanctissima Trinita del monte* w Rzymie, nie zaniedbujemy przesłać waszej czcigodności listu pobożnego w Bogu zesłego brata pielgrzyma, niegdyś na świecie Teofilem Granowskim zwanego.

Blisko przed pięciu laty przybył on do stolicy chrześcijańskiego świata, z okazałym wprowadzie orszakem podług zwyczaju swoich współziomków, lecz tem różnił się od innych, iż z samego zaraz początku zrzekł się wszelkich uciech światowych, a z domu wydalął się tylko dlatego, żeby być przytomnym chwale i służbie bożej, z taką czystością i wspaniałością w świętym Rzymie odbywanej; wkrótce potem wybrał on za powiernika duszy swojej jednego z pobożnych ojców naszego klasztoru. Znajome są waszej czcigodności obowiązki duchownego powołania,

łania, nie możesz więc oczekiwać, iżby ci objawiono to, co tylko samemu spowiednikowi powierzonem było, lecz gdy i w tym względzie nic tajnego przed wami niema, jak o tem przekonywamy się z wielu objawień teraz w Bogu zeszłego nam brata, dosyć przeto będzie powiedzieć tutaj, o czem on w wielu rozmowach przed duchownymi naszego zgromadzenia jawnie wspominał, to jest, że jakkolwiek sam grzesznym był człowiekiem, jednak nie za swoje winy pokutuje, i że jeżeli teraz wyrzeka się świata i wszystkich jego powabów, to za to jedynie, że korzystał z cudzych przestępstw aczkolwiek póty, póki się o nich nie dowiedział. Już i pierwszej używał on bogatych swoich dochodów na uposażenie domów Bożych, a osobliwie klasztoru *Trinita del monte*, szczególnie zaś przysyłane sobie pieniądze z pewnego majątku i zamku, którego trudno brzmiące nazwisko waszej czcigodności w załączonym liście objawione być musi i w którego sąsiedztwie sam zapewne znajdujesz się, — zawsze nietykalnie i ani grosza sobie nie zatrzymując odsyłał *Colegio de propaganda fide*, z wyraźną wolą, żeby ich użyto na przywrócenie odszczepieńców na łono prawdziwej wiary. Od roku, albo może i więcej, ś. p. Teofil Granowski zaczął częściej aniżeli dotąd pokazywać się w parlatoryum klasztoru i nakoniec oświadczył kiedyś chęć swoją wstąpienia w nowi-

cyat naszego zakonu, na co My, przeor i starsi ojcowie przystojnie i uczciwie przekładaliśmy, że jego przedsięwzięcie jakkolwiek godne jest pochwały, zawsze jednak zasługuje, iżby dokładniej rozważone było, że nie koniecznie w klasztornej zamknięciu można prowadzić pobożne życie, czego dowodem jak mówią ludzie, jest własne jego postępowanie i że nareszcie w najpiękniejszym wieku nie powinien zapominać o swojej znakomitej rodzinie, zwłaszcza, że cała nadzieja na nim polega, bo on jej ostatnim jest szczepem. Na te słowa bardziej się jeszcze Granowski niespokojnym okazał, odpowiadając, że gdy tak ważny krok przedsiębrał, zapewne do niego przygotować się musiał, i że powody, jakimi go odstręczyć usiłują, są właśnie też same, co go do zrobionego postanowienia najmocniej skłoniły.

— Nie każda rodzina — mówił on — jakkolwiek znakomita, Bogu i ludziom przyjemną bywa i zdarza się, iż przedłużenie jej bytu za grzech i niesprawiedliwość względem drugich uważane być może.

To wszystko potwierdził obecny spowiednik brata naszego. Gdyśmy się przekonali o jego stałym przedsięwzięciu i prawdziwym powołaniu, przyjęliśmy go w liczbę nowicyuszów. Spełniał on nowe swoje obowiązki podług przepisanych prawideł z jak największą surowością; bo chociaż My

przeor i starsi klasztoru przez wzgląd na jego zdrowie codziennie bardziej niknące ulżyć mu w części żądaliśmy, on jednak wszystkie te nasze ułaskawienia z największą stałością usuwał. Dopiero po ukończonym roku próby, w przytomności wielu kardynałów i znakomitszego duchowieństwa przywdział sukienkę naszego zakonu i odtąd postępkami swoimi pobożnością był wzorem dla innych kapłanów, dopóki słabość cielesna wzięwszy nad nim górę, nie złożyła go na łożu śmiertelnem, z którego już on powstać nie miał. Czując się już bliskim śmierci prosił, żeby mu pozwolono napisać to, co potrzebnem być sądził i właśnie cały dzień i całą noc przepędził na pisaniu tego, co waszej czcigodności przez pośrednictwo nasze przesyła się“.

„Wieczorem w dzień św. Bartłomieja, było to już około dwunastej godziny, zdarzyło się, iż braciszek obowiązany pilnować konającego, wydał się na czas niejakiś z celi, a za powrotem spostrzegł przez szczeliny drzwi blask światła, który jemu za mocny się wydał, ażeby miał pochodzić od małej lampy przed ołtarzykiem chorego palącej się; przyczem zdawało mu się słyszeć szmer do szeptania dwóch albo trzech osób podobny; lecz gdy wszedł do celi, znalazł wszystko w porządku tak, jak wprzód było, dostrzegł tylko, że twarz brata pielgrzyma, chociaż wprawdzie

pogodniejsza, ale widocznie teraz została dotknięta ręką zbliżającej się śmierci. Konający objawił, iż jeszcze raz życzy sobie widzieć ojców naszego klasztoru przed swoją śmiercią; niezwłocznie udaliśmy się do niego i tu z ust śmiertelną już bladością pokrytych, następujące usłyszeliśmy słowa:

„Ubogi schodzę z tego świata, tak, jak nań przyszedłem; rozrzodziłem skarbami moimi jak się należało, co zaś miałem z łaski nieba w zamkach, miastach i wsiach, to podług dawnych umów obcemu dostaje się rodowi. Ale chcecie czcigodni bracia i ojcowie spełnić ostatnią wolę moją, nie-tyczącą się już żadnych majątków ni złota, bo tego zakonnikom posiadać nie przystoi, ale mającą na celu duchowny pożytek. Wybrany od dawna za powiernika serca mego, złożę w wasze ręce pismo, do którego doda to, co mu jeszcze powierzyć zamysłam. Racście je tylko niezwłocznie przesłać do kogo ono pisane, bo to posłużyć może na pożytek mojej duszy i dla zbawienia innych“.

Tu dał znak spowiednikowi, żeby się zbliżył do niego i gdyśmy się na bok usunęli, chory pomówiwszy z nim przez kwadrans, przerywanemi słowy, ale dobitnie powtórzył jeszcze raz prośbę swoją. Przyrzknąwszy mu spełnić jego żądanie, oddaliśmy się, a on około północy zasnął snem słodkim i spokojnym,

„Kiedy już zwłoki brata pielgrzyma złożone

zostały na miejsce wiecznego spoczynku, tegoż samego dnia spowiednik jego oddał nam zapieczętowany, list wolę zmarłego zamykający, który wspólnie z niniejszem naszym pismem odsyłamy waszej czcigodności, przez pośrednictwo kardynała, protektora Polski, przyczem napominamy usilnie, jako bracia i przyjaciele, żebyś zawarte w liście życzenie brata naszego bez zwłoki wypełnił, jeśli to ma służyć dla pożytku jego duszy i dla zbawienia innych^a.

*Pisano w klasztorze Sanctissima
Trinita del monte.*

16go września 1725 roku.

Tutaj następowały podpisy przełożonych klasztoru.

ROZDZIAŁ IV.

„Nie Teofil Granowski, niegdyś zwany starostą na Urzędowie i Janowie, podskarbi województwa lubelskiego, później zaś margrabia Issy“, tak się zaczynało pismo przez włoskich mnichów Stefanowi Odoniczowi przysłane; „ale raczej pokorny brat *Peregrinus* i najniższy w klasztorze świętej Trójcy, zasyła pozdrowienie czcigodnemu przyjacielowi i jedynemu niegdyś lekarzowi duszy, kanonikowi i plebanowi firlejskiemu“.

„Gdy to pismo otrzymasz, już pokorny zakonnik nie znajduje się na tym padole płaczu, ale spoczywa w Bogu w cichych grobowcach tego świętego schronienia, tam, gdzie go czeka spokojuś, jakiej mu na tym świecie dostąpić nie można było, od chwili, kiedy zwodnicze szczęście zdawało się być mu danem w udziale. Ze śmiertelnego łoża słabnącą ręką i omdlewającymi siłami kreślę ten list do ciebie mój Ojczy duchowny, nie dni, ale chwile życia mojego już są policzone, przeto tak chcę być krótkim w opowiadaniu, jak krótkim jest przeciąg czasu. Przez który żyć mi

jeszcze wolno; nie mam potrzeby powtarzać znajomych ci rzeczy, ale o tem tylko wspomnę, co się wydarzyło od czasu, kiedym z waszego sąsiedztwa oddalił się. Wiesz dobrze z tego, co na-przód ja jeden, a potem my razem obaj w zamku Zawieprzyckim widzieliśmy i słyszeli, tudzież z tego, co nam odkrył stary burgrabia zamku, iż dalszy mój pobyt na ojczystej ziemi stał się niepodobnym i że postanowiłem tak daleko od was się oddalić, ileby tylko w mojej było mocy. Zrzekłem się dostojęństw i urzędów w Rzeczypospolitej, jakich spodziewać się mogłem z powodu mojego urodzenia, dóbr znakomitych, a najbardziej z łaski Najjaśniejszego króla Augusta i przed dwudziestu laty rzuciłem ojczystą ziemię, żeby już nigdy do niej nie wrócić. Wtenczas już umysł mój był mocno wzruszony wiszącem nademną nieszczęściem, ale niewiele co następnie, gdym jego ciosów doświadczył; myślałem, że zadosyć uczynię obowiązkowi, gdy poświęcę na dobre uczynki wszystkie moje przychody, jakie mam z posiadania obciążonego przekleństwami majątku, lecz, że z resztą danych mi z łaski Boga dostatków, będę mógł użyć młodych lat moich. Nie wiedziałem wtenczas, albo raczej chciałem to sobie z umysłu wybić, że jeden szeląg nieprawnie nabytego majątku, ściąga przekleństwa na całe szkatuły złotem napełnione, a ukryte przestępstwo, gdy ujdzie

rak ludzkiej sprawiedliwości, zemsta niebieska w trzeciem i czwartem pokoleniu karać za nie będzie. Stosownie tedy do twojej porady szanowny kanoniku, kazałem wystawić kaplicę z krzyżem i pożegnawszy się z tobą pojechałem do Paryża, a stamtąd do Wersalu na dwór Ludwika, Wielkim zwanego. Tu dopiero gdy mi się zaczęło dobrze powodzić, zapomniałem wkrótce o przyczynie, która mnie z ojczyzny wydalila.

Szczególniej zaś nie myślałem o warunku, pod którym owi, częstokroć przez nas widziani, spokojność otrzymać mogli, za nadto bowiem ckrutną rzeczą mnie się wydawało, żebym ja niewinny za cudze niegodziwości miał się wyrzec największego szczęścia na ziemi, to jest związku małżeńskiego. Sądziłem, że dosyć będzie twoich modlitw i tego co ja sam dokonałem, ażeby przekleństwo odemnie oddalić; zacząłem przeto czulszym być na powaby kobiety, która tak w pałacach samego króla, jak na dworze księcia Orleanu wszystkich oczy na siebie zwracała. Byłem młody, przystojny i bogaty. Poseł Rzeczypospolitej poświadczył o znakomitości rodu mojego, z tych więc powodów stało się, że moje zalecanie się nie było źle przyjęte przez tę, co nader prędko przed innymi naprzód moję uwagę, a potem i serce pociągnęła ku sobie. Pośród uciech i przyjemności upłynęło dla mnie całe lato; a ja z Wersalu do Paryża pojechałem,

dla zrobienia potrzebnych przygotowań do mającego wkrótce nastąpić małżeństwa.

„Przechodziłem pewnego razu późno koło Luwru, po tej stronie, gdzie nowy most z posągiem Henryka IV. nad Sekwaną zbudowany; stało tu kilku ludzi rozmawiających pomiędzy sobą półgłosem i spoglądających na pałac królewski, będący przed ich oczyma. Zagłębiony w myślach o przyszłym szczęściu mojem, prędko mimo nich przechodziłem; lecz wtem jeden się odezwał:

Patrzcie, ten pałac, mieszkanie niegdyś króla Karola IX. Wszakto z tego to okna strzelał on do dyssydentów, jakże smutnych i krwawych wydarzeń te mury były świadkami! Wyobraźcie sobie tłumy nieszczęśliwego narodu wpływ przebierającego się na przedmieście *Saint Germain*, bo jeszcze wówczas nie było mostu i posągu dobrego Henryka.

O czemż on jeszcze nie żyje? — poszeptał drugi — nieszczęściem nasze czasy nie wiele są lepsze od tamtych, pomyślcie tylko o Sewennach.

— Ciszej—odpowiedział trzeci,— idźmy dalej, nie dobrze tu dzisiaj o tej porze zabawiać, a jeszcze i wspominać o takich rzeczach.

Z całej rozmowy jedno słowo: „dzisiaj“, najbardziej mnie zastanowiło, przypomniałem sobie bowiem, że to był dzień świętego Bartłomieja, dzień krwawej rzezi dla Francyi; dzień który także i dla mojej rodziny został dniem fa-

talnym. Przykre przypomnienie ciężko ozwało się w sercu mojem. Zamyślony i smutny powracałem do mieszkania. Lecz cóż stąd, powoli powróciła spokojność z tą nadzieją, że oddalony od brzegów Wieprza, nie powinienem się obawiać duchów, co mnie w mojej ojczyźnie ścigały. Nie tak jednak było w samej rzeczy. O to tej samej nocy, jakiś szmer głuchy ze snu mnie obudził; zdało mi się, że znowu jestem przeniesiony do zamku z którego uciekłem, wszystko, tak jest, wszystko stało się znowu przed moimi oczyma, cośmy tylko wówczas z tobą widzieli, przestрах zdawał się przykuwać mnie do łóża, nie mogłem poruszyć się; *owa* kobieta znajoma ci z cieniu i z obrazu, przystąpiła do mnie i dawała jakieś przestrogi, jej słowa w głębi duszy mojej boleśnie uczuć się dały, *straszny* spoglądał na mnie z głębokiem szyderstwem, *ów* zaś trzeci stał zdaleka w smutku i w milczeniu pogrążony. Znikły wprawdzie owe widma z oczu moich, byłem jednak wewnątrz aż nadto przekonany, że powrócić musiały na zwyczajne miejsce, niegdyś placem przestępstwa, a następnie kary Boskiej będące. List przezemnie otrzymany od zastępcy wiadomego ci, siwego zbrodniarza, przekonał mnie, iż mój domysł był prawdziwym“.

„Przez długi czas wystawiony byłem na najboleśniejszą walkę miłości i zgryzot sumienia, zwlekałem teraz zaślubienie, tak pierwiej mocno

pożądane, pod rozmaitymi błahymi pozorami, i postanowiłem nareszcie tę, którą uigdy moją nazwać nie mogłem, raz jeszcze w życiu zobaczyć, a potem na wieki ją pożegnać. Ale jakże się przed tobą usprawiedliwię z całej mocy uczuć, nigdy przez ciebie niedoświadczanych, z młodych lat bowiem poświęconym będąc boskiej usłudze, używałeś pokoju w duchownym stanie, który ledwie po wielu walkach i dopiero aż na kraju grobowca stał się moim udziałem. To tylko powiem, że w obliczu kochanki zapomniałem o mojem przedsięwzięciu i o duchach tamtego świata; wkrótce potem kapłan połączył ręce nasze przed ołtarzem Najwyższego. Bogatymi darami dla kościoła i klasztorów starałem się gniew niebios ułagodzić. Ty sam szanowny ojczyźnie przyznałeś, że ofiary moje w tym celu przysłane, aż nadto były dostateczne. Roilem, że kupiłem sobie szczęście i w samej rzeczy ono mnie przez czas niejaki nie odstępowało. Nasz związek nie był bez owocu, żona moja porodziła miłuchną dziewczynkę. Daruj, że prędko przebiegę te okoliczności, dziś jeszcze serce zakonnika zanadto mocno wzruszające, gdy nic ziemskiego, nic przemijającego, ale sama niebieska przyszłość zajmować je powinna. Którejś nocy byłem przy mojej małżonce, tuż przy niej stała kolebka z dziecią naszym, bo ona, pomimo zwyczaju ojczyzny i stanu, nie chciała je

cudzej pieczy powierzyć. Wtem owe straszne widna znowu stanęły przed mojem i cczym, na-próżno siliłem się uśpioną przebudzić, niewidome więzy zdawały się krępować mnie na mojej po-ścieli, byłem tylko bezczynnym widzem, jak *owa*, którą obraz przedstawia, chwiejącemi się krokami z bolesnym uśmiechem przybliżyła się do kolebki, *ponury* zdawał się ją napędzać, a *straszny* ścigał ją wzrokiem wściekłości;—przystąpiła ona do uśpio-nego dziecięcia, skłoniła się nad niem i gdy pierwszy promyk słońca oświecił kolebkę, spo-strzegliśmy martwe ciało naszej córki. Ta noc następowała właśnie po dniu św. Bartłomieja.“

Wiedziałem dobrze, co mi uczynić należało, wyraźnie palec boski powinność mi moję nakre-ślił, ale czyż można było opuścić teraz strapioną matkę i nieludzką srogością po tak nieszczęśliwem uderzeniu, drugi cios jej zadać? Czas i rzadkie przymioty godnej kochania żony, smutnym trafem z moim losem związanej, sączył powoli balsam na zranione serce. Sądziłem, że odbył dostateczną pokutę za to, w czem nigdy przestępny nie byłem i postanowiłem niezasłużone nieszczęście znieść jak najmężniej. O mdły zapędzie śmiertelnych! twoja urojona siła jest tylko nikczemną słabością, przeciwko wszechmocnej ręce, unoszącej się groźnie nad tobą. Znowu małżonka moja oświadczyła na-dzieję, że matką zostanie, i teraz dwoje bliźniąt

wydała na świat, lecz jeżeli z bojaźnią oczekiwałem tego wydarzenia, które szczęśliwsi ojcowie za najpożądany dar łaski boskiej poczytują, bojaźń ta w okropny przestrah się zamieniła kiedy na twarzy pierworodnego syna postrzegłem czerwonawą plamę, jak gdyby połowa twarzy jego była zrumieniona przez zachodzącą jutrenkę purpurową. Przerażony przypomnieniem na ów widok w duszy mojej odrodzonym, z bojaźnią spojrzałem na drugie dziecko i spostrzegłem, że z groźnych rysów i ciemnych włosów, był to żywy obraz *owego drugiego*, o kim się domyślasz mój ojcie! Ledwie mogłem odzyskać przytomność, tyle potrzebną przez wzgląd na stan chorej żony i obecność zebranych tu jej krewnych! ale całem użyłem powagi, nalegając najusilniej, ażeby dzieci podług zwyczaju znakomitszych osób z domu naszego oddalone były i żeby je powierzono staraniom wieśniaczki, gdziekolwiek w pobliskiej wiosce. Mniemałem, że oddalone od nas będą bezpieczniejsze od zemsty na moję głowę spadłej, a jeżeli żelazną jej ręką i te dzieci mają mi być wydarte, nie będę przynajmniej świadkiem straszego wydarzenia, gdy temu przeszkodzić się mi nie dostaje. Zamilczałem przyczyny mojego nalegania, ale przed okiem troskliwej matki nie ukrył się ów wstręt, co mnie przejął na widok nowonarodzonych. Uczuła ona go w głębi duszy i przy-

piśla skutkom oziębłości, jaką jej w ostatnich czasach okazywałem. W samej rzeczy bojaźń tego, co się stać mogło, przejmując mnie dziwną niepokojnością, odganiała od boku ukochanej żony i pędziła w tłum świata, gdzie starałem się smutne myśli rozpędzić, nadać sobie cechę spokojności, niszczącej wszelkie podejrzenia, gdy ich zniszczyć szczerem wyznaniem prawdy brakło mi odwagi. Okoliczności zbliżyły mnie z ksiązęciem de Chartre, rejentem państwa i opiekunem młodego króla; był to książę, którego imię wtenczas już nawet rzucało cień niejakiś na obyczaje jego współtowarzyszów. Światowość i ubieganie się za rozrywkami było powodem naszego sojuszu. Często w czasie jego uczt, nie tak wprawdzie jeszcze podówczas nagannych, jak to potem było, zapominałem o dręczących mnie frasunkach; płochość i lekceważenie wielu poważniejszych, iż nie powiem świętych przedmiotów, potrafiły nie raz ogłuszyć mnie na czas jakiś i przekonać niby, że to, co doświadczyłem, było tylko złudzeniem wyobraźni i dziełem ślepego przypadku“.

„Żona zgodziła się wprawdzie na moje żądanie, żeby nowonarodzone bliźnięta oddalone od nas zostały, ale spokój domowy został przez to zakłócony“.

„Tymczasem bardzo chętnie przyjąłem wezwanie księcia wzywającego mnie z sobą do

Hiszpanii pod sztandary wojuy. Chwyciłem się skwapliwie tego wydarzenia w nadziei, że oddaleniem się mojem odciągnę wiszące niebezpieczeństwo nad głowami niewinnych dzieci. Równie sądząc, że przez zrzeczenie się nazwiska starożytnej familii, zrzucę z siebie i przekleństwo, zacząłem się nazywać margrabia Issy od nazwiska dóbr, jakie mi się dostały przez zaślubienie ich dziewczki.

Koniec lata znalazł nas u stóp Pirenejów; pamiętam dobrze o udręczeniu, z jakim oczekiwałem posłańca z Paryża po fatalnym dla mnie dniu św. Bartłomieja, chociaż w nocy po nim następującej żadne mi się widma nie pokazały. Przybył nareszcie posłaniec i obwieścił mi, czego nawet spodziewać się nie ośmieliłem, że straszny kres przeminął, a przecież ulubione bliźnięta były jeszcze przy życiu. Z odnowionemi siłami żywota i z wesołym umysłem pospieszyłem na pole bitwy nie bez pochwał przeto wspominają czyny margrabiego Issy. Wojna skończyła się; miałem już powrócić do mojej żony, starać się zapomnieć przy niej o przeszłości i nowe szczęśliwe życie rozpocząć,—mniemałem bowiem, że już jestem wolny od dręczącej boleści, co szczęście domowego pożycia dotąd niszczyła.

W tym jednak czasie powierzono mi dyplomatyczne poselstwo. Dane polecenie było takiego

rodzaju, że się od niego żadnym sposobem wymówić nie mogłem, co większa nie można było nawet oznaczyć pewnego czasu, kiedy będę mógł ujrzeć ukochane dzieci, tem droższe teraz dla mnie, im więcej mnie trosk nabawiły—i kiedy uścisknę małżonkę, która pozbywszy się swoich uprzedzeń, niecierpliwie mnie oczekiwała. Powierzona mi czynność była tak zawikłaną, tak wiele nowych obowiązków pociągała za sobą, że siedm lat upłynęło, zanim ujrzałem się na ziemi francuskiej. Zdawało się, że skrzydłami sokoła leciałem do Paryża. Wiadomem mi było, że żona dotąd jeszcze dzieci naszych nie odbierała z wioski Neylli, gdzie zostawały pod opieką pierwszej ich piastunki, często je tylko odwiedzała, żeby tem sobie ile można wynagrodzić udręczającą ją zwłokę. Zaślepiony szczęściem które mnie oczekiwało, postanowiłem dzieci i małżonka razem jej powrócić. W tym zamiarze, na ostatniej pocztowej stacyi przed stołecznem miastem, siadłem na koń i w towarzystwie jednego tylko służącego, przebiegłem wzdłuż Paryża do wioski, gdzie się moje ukochane dzieci znajdowały. Zbliżałem się do rzeki Sekwany. Daruj szanowny ojcze! gdy to piszę, ciemność pokrywa oczy moje i pióro z drżących rąk wypada. Tak jest, byłem już nad samą Sekwaną, mróz po brzegach ściał lekkim lodem jej wody, bo to była zima, postrzegłem na drugiej stronie rzeki

dwóch chłopczyków stojących na wątlej lodu skorupie i patrzących ciekawie na świecące się kryształy lodu, które rzeka w jedno miejsce zbierając, tworzyła grubą pokrywę równającą się z mostem. Za zbliżeniem się mojem, kiedy nieostrożnych napomnieć chciałem, żeby zwodniczemu łodowi niezawierzała, bo w klimacie Francyi rzadko rzeki mocno zamarzają o tyle, żeby ciężar ludzkiego ciała dźwignąć mogły;—spostrzegłem, że pomiędzy chłopczykami kłótnia się zaczęła, i nim mój służący dobiegł, żeby ich rozdzielić, jeden z nich, blond włosy mający porwał drugiego za czarne kędziory i wepchnął do wody: rzeka chciwie go pochwyciła i pod lód zanosła. Przez chwilę z przestachu jak skamienieli głuchymi i niewzruszonymi byliśmy widzami smutnego wydarzenia. Wówczas mały morderca wyciągnął ręczki swoje ku niebu i zawołał głosem rozpacz: „biada mnie, ja cię zabiłem, mój braciszku!“ a potem rzucił dzikie spojrzenie na mego służącego, który się ku niemu przybliżał i wołając: „Boże zlituj się nademną!“ sam wskoczył w rzekę, co go także zanosła pod lód, gdzie było ciało nieżywego już brata.“

„Przestach sądu ostatecznego nie więcejby mnie przeraził, cała okolica mgłą w oczach się moich pokryła, niemy i głuchy nie słyszałem, iż mój służący wołał o pomoc, nie widziałem mieszkańców wioski przybyłych z rozmaitemi narzę-

dziami ratunku. Nie mało czasu upłynęło nim lód przebito, więcej jeszcze, nim znaleziono miejsce gdzie oni byli. Wyciągnięto nareszcie dwa trupki za rączki się trzymające, tak właśnie, jakby śmierć chciała pojednać zamordowanego z mimowolnym mordercą, a ja przybliżywszy się do nich spostrzegłem na twarzy jednego czerwonawą plamę, poznałem ciemne włosy drugiego i owe surowe rysy twarzy, teraz śmiertelną bladością pokrytej. Tak jest! byłyto moje dzieci Stefanie Odoniczu, a dzień ich śmierci był piąty stycznia, po którym właśnie dwunasta noc następuje.“

„Raz tylko spojrzeniem ku niebu, co mnie za przedmiot zemsty obrało, ale szyderskiem i wyrzucającem spojrzeniem, bom jeszcze wtenczas dalekim był od tej pokory i uniżenia, jakiej dopiero nabyłem po długich i pełnych cierpienia latach. Kazałem martwe ciała ukochanych dzieci włożyć do mego pojazdu, w milczeniu sam przy nich usiadłem i zwolna, jak z żałobnym konwojem przez ulice Paryża jechałem do domu, gdzie niedawno sądziłem szczęśliwy mój powrót obchodzić. Straszna prawda odkryła się wtedy przed moimi zaślepionemi oczyma, spostrzegłem, że jeżeli kara niebios na czas się przewlecze, to tylko dlatego, ażeby tem ciężej spadła na głowę tych, kogo dosiadać miała: mimowolnie ugięła się pycha moja przed mozną ręką przeznaczenia i odtąd nie chcia-

łem dłużej mu się opierać. Miałbym trwać w tym związku, gdy przeciw niemu niewidzialna siła wyższa nad śmiertelnych sprzysięgła się: miałbym dawać życie nieszczęśliwym istotom, kiedy przekleństwo od dnia urodzenia ciążyło nad nimi kiedy z wyroku losów nie jedenby może spełnił rozmyślną zbrodnią tak, jak owo dziecko, którego śmiertelne zwłoki przedemną leżały, a ród mój pozbawiony błogosławieństwa, za tajne występki, miałby następnie ginąć w hańbie i publicznej zniewadze?”

„Żona moja pospieszyła ku mnie z otwartymi rękami, pierwsze jej spojrzenie padło na zwłoki naszych dzieci, pierwsze powitanie niecierpliwie oczekiwanego męża było zarazem wyrokiem wiecznej z nim rozłąki. Wstąpiła ona do klasztoru, ale jej serce, tylokrotnymi ciosami dotknięte, uległo pod nawałem nieszczęść i ona wkrótce poszła za dziećmi swojemi. Pokój wam popioły ulubionej żony, coś nigdy przeciw żadnemu obowiązkowi nie uchybiła, co we czci i szczęściu nieskalane mogłabyś zakończyć życie, gdyby cię miłość do mojego losu nieszczęsnym nie przykuła łańcuchem!”

„Poróżniony z samym sobą i z całym światem, porzuciłem mój dom, bo tu każdy zakątek nowe mi rodził wspomnienie dni szczęśliwych, przeszłych już dla mnie na zawsze i nowe boleści

coraz głębiej i głębiej w duszy mojej ożywiał. Oddałem wszystkie dobra i cały majątek żony prawym jej dziedzicom, sam zaś próbowałem jeszcze raz odurzyć siebie samego w odmęcie dzikich rozkoszy, gdyż te tylko zdawały się pozostawać po stracie najmilszych dla mnie przedmiotów, ale od-
tąd na ucztach księcia *de Chartre*, wtedy już *d'Orlean* zwanego, towarzyszyła mi dziwaczność umysłu, raz mnie w zbyteczną i niepowściągniętą zapędzającą wesołość, to znowu w ponury pogrążającą mnie smutek; stąd też żywi i lubiący rozkosz współtowarzysze moi poczęli mnie unikać, gdyż moja obecność psuła nieraz ich zabawy.“

„Tymczasem świat o mojem postępowaniu tak sądzić zaczął, jak mu z pozoru inaczej sądzić nie można było, z zadziwieniem i niechęcią spoglądano na mnie, raz jak na męża, który porzucił nienaganną żonę, kiedy nie jeden na postępowania swojej dlatego tylko patrzył cierpliwie żeby nie zwrócić na siebie oczu świata, to znowu jak na cudzoziemca, który wniósł zamieszanie i upokorzenie między jedną z pierwszych familij francuskich, a kobiety szczególnie, nie mając powodów lękać się prawicy polskiego szlachcica, widocznie dawały poznać, że od dawnego czasu zanadto już się przypatrzyły memu ponuremu obliczu. Ale już i tego nie trzeba było: pobyt w Paryżu stał się dla

mnie nieznośnym, wolniej oddychałem porzuciwszy jego mury i pospieszyłem do Londynu.“

„Dwór królowej Anny inny był zupełnie niż Ludwika XIVgo w Wersalu, gdzie zalotnictwo i pobożność wystąpiwszy z razu przeciw sobie, następnie jedno ku drugiemu zbliżyły się, aż nareszcie pojednane wzajemnie sobie rękę podały, żeby odtąd wspólnie dalej postępować. Duch posępnoci systematyczne siejąc marzenia unosił się nad stolicą Anglii. Londyn był wówczas kolebką owej mądrości świata, która niszcząc rzeczywistość, na swoich urojeniach powietrzne zamki buduje, póty tylko trwające, póki inny mistrz nowej w ich miejscu nie wzniesie budowy, żeby i ta kiedyś za nastaniem drugiej obaloną została. Ty szanowny przyjacielu! przy twojem niepospolitem oświeceniu zauważyłeś zapewne, i życzysz razem ze mną, ażeby zimne i nocne cienie pobocznego systematu nie rozprzestrzeniły się nad naszą ojczyzną, a przynajmniej, żeby się to nie wprzód stało, dopóki upowszechnione i wyjaśnione nie będzie wszystko, co jest świętego wewnątrz duszy człowieka. Przyznam ci się w niniejszem opowiadaniu, z wielu względów do spowiedzi podobnem, że ta nowa mądrość z początku pociągnęła mnie ku sobie, bo łatwo jest wątpić nieszczęśliwemu o wszystkim, bo on wówczas i o swoim nieszczęściu wątpić może. Z tego powodu wszedłem

w ścisłe związki z uważanymi wówczas za najgłębszych mędrców z całej Anglii. Zbieraliśmy się licznie, ażeby udzielać sobie wzajemnie płodów bujających naszych wyobraźni. Nasza rozmowa często była podobna do starcia się ciemnych chmur burze niosących, a od czasu do czasu gorzkim szyderstwem jak ślepiącą błyskawicą oświecanych. Przytem nie żałowano i gorących napojów, tak, że przy po żegnaniu byliśmy w stanie odurzenia, w jakie wprawiały nas dymy mocnych win portugalskich i dymy bardziej jeszcze upajających hipotez i wniosków. Jednak w takich okolicznościach zostając przez czas niemały, nie mogłem atoli zahartować serca przeciw uczuciom, bo chociaż wpływ ich osłaniał je powoli twardą powłoką, ta jednak za pierwszym uderzeniem łatwo się kruszyła, tem boleśnieszą jeszcze ranę za każdym razem obnażając. Jednak potrafiłbym daleko łatwiej ukołysać siebie w śnie głuchym zwodniczej spokojności, gdyby dawniej mnie dręczące, lecz od wielu lat niewidziane nocne mary nie zjawily się znowu. Wtenczas bowiem z pomiędzy wielu wyobrażeń snujących się przed oczyma duszy mojej, to jedno za niewzruszoną przyjąłem prawdę, iż na próżno tysiące dowodów sili się zniweczyć w nas przekonanie o niebytności jakiegoś przedmiotu, gdyż jeden dowód bywa częstokroć dostateczny dla przekonania o rzeczywistem jego istnieniu: tak zno-

wu powróciłem do tego mniemania, iż raczej sądzić wypada, że żyjące i martwe przyrodzenie wzięło swój początek w jednej sile napełniającej wszystkie światy, niżeli przypisywać zaszłe wydarzenia niepoliczonym i różnym przyczynom.“

„Z Londynu przeniósłem się do Szwajcaryi, i obrałem Lozannę za miejsce mojego pomieszkania. Sąsiedztwo z Genewą powodowało mnie do związków z Kalwinami, bawiły mnie ich spory religijne, sam nawet we własnym domu często im powód dawałem, lubo zresztą byłem tylko słuchaczem. Ale nie bój się o swojego przyjaciela, szanowny panie, wkrótce bowiem przyszła mi myśl, że zastanawiać się nad świętościami, nicować je, przeglądać ze wszystkich stron jak towary na targach, jest to znieważać je; a gdy ich cena w oczach naszych zmieni się, tedy i postępowanie nasze koniecznie równejże ulega odmianie.“

„Świat i wszystkie jego ponęty znudziły mnie aż nadto, uciekłem na samotną dolinę Wallezyjskiego kraju z postanowieniem pędzenia życia samotnego na rozpamiętywaniu i zgłębianiu tego, co mię otaczało. Wiele lat upłynęło spokojnie w tym schronieniu, gdzie oddzielony byłem od żyjących, i zapomniany jak się mi zdawało od umarłych. Sadziłem kwiaty, szczepiłem drzewa, a jeśli rozwinął się pączek jaki i wonie jego rozeszły się w miłym wiosennem powietrzu, cieszyłem się wten-

czas, że jest coś przecie na ziemi, co mnie swój byt winne i z bolesnem wspomnieniem myślałem o szlachetniejszych żywiołach w samym młodocianym pączku zniszczonych: jeśli zaś rozłożył się drzewo wzniosłszy się wyżej tworzyło cienie, pocieszałem się tą myślą, że jakaś pamiątka pozostanie wtenczas, kiedy mnie już nie będzie, i że z czasem na widok zrosłych drzew powtórzą zapomniane imię tego, który kiedyś pod cieniem ich spoczywał.“

„Jednak i to miejsce pokoju nie było dla mnie przeznaczone. Jeszcze raz przyjemności życia chciały mnie pociągnąć ku sobie w postaci miłej alpejskiej góralki. Nie potępiaj ludzkiej słabości, mój ojczy! ale użal się nad nią, że ona pomimo tylu strasznych doświadczeń, zwolna mię odwodziła od ciernistej cnoty zapomnienia siebie. Podówczas jeszcze którejś nocy dał się słyszeć głos duchów tamtego świata, ale już tym razem usłuchałem ich przestrogi. Przed ołtarzem Najwyższego połączyłem rekę mojej Beteli z ręką młodego Szwajcara, co ją kochał od dawna i o którym być może zapomniała jedynie przez litość dla nieszczęśliwego cudzoziemca, znanego w całej okolicy z dobroczynności i bogactw.“

„Dokonawszy tak ciężkiej sercu ofiary i sam sobie już odtąd niedowierzający, pospieszyłem do świętego miasta Rzymu, skąd szerokim strumieniem

zlewa się łaska Boska na całe chrześcijaństwo. Tutaj usunięty od ponęt światowych przykładnie spełniając pobożne uczynki, lub zajęty modlitwą przed świętymi ołtarzami, starałem się zniszczyć wszystko, co tylko we mnie ze światowych uczuć pozostało, i co zbawieniu mojemu mogło być przeszkodą; a tem samem chciałem godnie stanąć pomiędzy tymi, co dobrowolnie wyrzekłszy się samych siebie, najskuteczniejszym sposobem za kres życia przechodzą. Gdy szanowni Ojcowie klasztoru świętej Trójcy znaleźli mnie godnym tej łaski i gdy u nich wybyłem rok nowicyatu, spełniając wszystkie obowiązki zakonu, ile mi tylko siły dozwalały, przyjąłem na siebie zakonną sukienkę i zostałem wyświęcony na kapłana. Tym sposobem zdaje się odwróciłem od mojej głowy wszelkie przekleństwo, od tylu lat nademną ciężące; ale ciało, owa lepianka z gliny nie może się zrównać z duszą nieśmiertelną w jej postępach; upada ono pod ciężarem tylu nieszczęść lat przeszłych i ja jedną nogą jestem już u grobu. Chciej więc pobożny przyjacielu spełnić prośbę umierającego, to jest, wszystko, co znajdziesz z ruchomego majątku w zamku moim, weź do siebie i użyj na wieczny fundusz, ażeby w dzień świętego Bartłomieja i piątego stycznia każdego roku odprawione były msze za duszę tego, który błędów swoich odkutować dotąd nie mógł;—co się tyczy innych,

czuję, że oni będą spokojni. Nim dzień jeszcze zaświta, spełni się warunek, pod którym dusze ich będą mogły wiecznym cieszyć się spokojem, gdyż żaden już potomek domu Jana Granowskiego błąkać się po ziemi nie będzie.“

„Postaraj się także, jeżeli cenisz ostatnią wolę moją, ażeby wiadomy ci obraz był precz wyniesiony ze sali, niech inny ród szczęśliwy nie ma przed oczami śladów zbrodni i dziwnych wydarzeń; — zresztą żadnej już niema tajemnicy, już bowiem niema w życiu nikogo, ktoby miał być zhańbiony tem, co się kiedyś stało.“

„Teraz właśnie braciszek kościelny, czuwający przy śmiertelnem łożu mojem, uwiadomił, że kościół obchodzi dzisiaj uroczystość świętego męczennika Bartłomieja. Nie lękam się już więcej tego dnia, bo przestępstwo wówczas spełnione, dziś jeszcze odpokutowane będzie.“

„Tak jest, nie mogę pozbyć się nawet życzenia, żebym raz jeszcze mógł widzieć tych, co niegdyś moje nocy takim przestachem napełniali, i upewnić się, że nie tylko ulubiona żona, co mię poprzedziła, jej dzieci aniołkami teraz będące, ale i ci nawet, dla których zbawienia całą ziemską postradałem szczęśliwość, z uprzejmością powitają mnie u brám tamtego świata.“

„Kończę list, siły moje słabieją, bądź zdrów, żyj jeszcze na tej ziemi, a kiedyś znówu się z so-

ba zobaczymy: tymczasem wspomnij niekiedy o twoim bracie

Pielgrzymie.“

„Niejeden zapewne łatwo uwierzy temu, że nie bez rozczulenia przeczytał autor powieści ten list, podpisany słabnącą już ręką męczennika za cudze grzechy, tak, że ledwo po niejakiś przeciągu czasu mógł on zwrócić uwagę na następujące łacińskie pismo:

„Spełniając żądanie zeszłego w Bogu brata Peregrina, biorę za pióro, ażeby cię szanowny panie! uwiadomił, że ostatnia nadzieja, jaką on miał i jaką w liście swoim opisał, nie próżną była; ponieważ od wielu lat w sercu jego jak na tablicy czytać mogłem, wszystko więc co się jemu wydarzyło, nie było dla mnie tajemnicą, przeto to co mi powierzył i to co sam widziałem przy jego skonaniu, nie napełniło duszy mojej zadziwieniem i przestraczem, ale przejęło raczej nabożnością i zadowoleniem. Stało się bowiem, że gdy braciszek oddalił się od umierającego na czas krótki, a on cicho spoczywał, oczekując zbliżającej się śmierci, blask niezwyčajny oświecił celę i trzy osoby przed nim stanęły, to jest te dwie co są odmalowane na znajomym ci obrazie, trzecią zaś był sam malarz. Tym razem nie spoglądali oni jak zazwyczaj smutno i złośliwie, ale z przyjacielskim

uśmiechem, a zbliżywszy się, rzekli: „Pokój ci bracie! ty kończysz twoje, a my nasze cierpienia, teraz razem pójdziemy w królestwa światła przez ciebie dla nas otwarte, tam, gdzie cię czeka małżonka, a z nią twoje niewinne dzieci.“ Kiedy braciszek powrócił do celi, już znikło całe widzenie, ale spokojność niebieska duszę chorego napełniła: bo czuł się pojednanym z żyjącymi i umarłymi.“

„O tem wszystkiem on mi sam konającym głosem cpowiadał w przytomności przełożonych klasztoru i prosił, abym go nie odstępował do chwili śmierci. Kiedy się inni oddalili, a ja ostatnie łaski kościoła zlałem na niego i dałem mu zupełne odpuszczenie grzechów *in articulo mortis*, upadł on na swoje poduszki i leżał bez żadnego poruszenia, oddychał jeszcze trochę, ale coraz słabiej i coraz z większą trudnością. Wtem oświeciła się znowu cela, a teraz już i ja spostrzegłem trzy osoby, nie zaś cztery, jak to dawniej zazwyczaj bywało, bo *straszny* nie znajdował się pomiędzy niemi, umierający jednak zdawał się ich nie spostrzegać. Wszyscy trzej za ręce trzymając się przybliżywszy się do jego łoża nachylili się ku niemu i w czoło go pocałowali. Zapewne dusza jego razem z nimi uleciała, gdyż spostrzegłem, że już nie żył, ale twarz jego chociaż bladą i martwą była niebiańska napełniała radość. Uznałem

za rzecz potrzebną o tem cię uwiadomić, dla dowiedzenia, że nigdy nagroda nie mija za poniesione udęczenia i za dokonaną cnotę przewyciężenia siebie samego; przy czem polecam się twojej życzliwości.“

Eustachiusz frater.

ROZDZIAŁ V.

„Już go więc niema“, tak mówi dalej Stefan Odonicz, pleban firlejski: „niema tego, którego ojcowskiem kochałem przywiązaniem, który miał być dobroczyńcą swoich poddanych i promieniami łaski rozpędzić cienie burzliwej nocy, jaką ów starzec, — niech go Bóg a nie ja sądzi, w około siebie rozprzestrzenił. — W klasztornej sali na łożu surowej pokuty zakończył życie ten, co blisko tronu stojąc, miał więcej nad innych swoich współziomków jaśnieć nauką i szlachetnymi obyczajami. Po drodze cierpień i pokus doszedł on do miejsca swego przeznaczenia i chociaż nie zawsze udało się mu przewyciężyć słabość swoją, gdyż ulegał czasami pokusom tak jak i inni synowie Adama, ale za to, czego nie łatwo kto dokaże, chwalebnie umiał powstać z upadku i strzedz, aby się znowu nie potknął, tak, że go pewnie na tamtym świecie temi słowy przywitają: „idź wierna i pobożna duszo do twojego Pana na wieczną radość i wesele.“ Zaiste powiedzieć można, że błogie życzenie *requiescat in pace* nie na pró-

żno nad ciałem jego wymówione było. Lecz czy sprawiedliwe niebo nie zwali jeszcze na głowę przestępcy poniesionych nieszczęść przez ofiarę pokutującą za cudze grzechy i dopełniwszy niemi miarki grzechów owego zbrodniarza nie straci go w bezdenność, skąd niema żadnego ratunku? Ale dajmy temu pokój, nie przystoi człowiekowi niebacznym sądem zaciekać się w granice litości i zrywać zasłonę, tamten świat od nas oddzielającą.

„Spoczywający w Bogu pielgrzym włożył na mnie niektóre duchowne i światowe obowiązki, a między tymi porządnym spis i jak można najlepszą wyprzedaż sprzętów i bogactw, co są pozamykane w owych kufrach i skrzyniach, od których przed dwudziestu jeszcze laty klucze mi powierzono. Uzyskane pieniądze użyte będą stosownie do ich przeznaczenia, wolą nieboszczyka wskazanego. I jakkolwiek wszystkie te trudy przy głębokiej starości ciężkie są dla mnie, będę jednak usiłował spełnić sumiennie to co mi zalecono.“

Dnia 10go stycznia 1769go roku.

Dzięki Bogu, całe zatrudnienie skończone już przecie i jak się spodziewam, posłuży na chwałę Boga i pożytek zmarłego.

Ledwom wszedł do zamku, dworscy donieśli mi zaraz, że chociaż hałas w pierwszych dwuna-

nastu nocach, u nich świętami zwanych, dawał się słyszeć tak jak i pierwej; ostatniej jednak nocy słyszano jeden tylko głos jęczący, a i ten już około dwunastej godziny smutnem i przerażającym zakończył się wykrzyknieniem, kiedy dawniej nieład trwał zwyczajnie aż do pierwszego piania koguta. To mi wyraźnie dało poznać, że przekleństwo usunięte już jest od zamku.“

Rozkazałem zdjąć obraz z miejsca, gdzie był dotąd zawieszony i zanieść go na dół do oddalonego składu. Kiedy to spełniono, spostrzegłem, że mur dotąd obrazem przykryty innego zupełnie był koloru, niż reszta ściany, jak to często się zdarza przy ruszeniu rzeczy, długi czas na jednym miejscu zostającej; kazałem przeto ścianę wytynkować, ażeby teraźniejszy dziedzic zamku Zawieprzyc, nie znalazł żadnych śladów dawniejszych smutnych wydarzeń; chcąc zaś dom duchownie oczyścić, paliłem święcone zioła i skrapiałem wodą święconą, co także dokonano przed drzwiczkami drewnianej wieży. Następnie w przytomności ówczesnego burgrabiego zamku i kilku umyślnie sproszonej sąsiadów, sporządziłem inwentarz ruchomości, z których to sobie wziąłem, co skutkiem zaleceń dawnego ich właściciela wziąć byłem uprzywilejowany, nie zapominając zabrać i pewnego poszytu rękopisów znalezionych w którejś skrzyni.

Gdy już ukończyliśmy robotę, więcej trzech

dni nas zatrudniającą, wszystko powróciło do pożądaney spokojności i porządku, i działało się tak, jak po innych pańskich dworach; ale gdym przechodził pewnego razu przez zaklętą salę, spostrzegłem, że owa ciemna plama na ścianie, jakkolwiek starannie zatynkowana i zamalowana, znowu jednak przeświecać się poczęła. Ponowiono użyte już środki, ale i te nie przyniosły pożądanego skutku; z czego wniosłem, że *miejsce zbrodnią skalane, przez długi czas albo i przez wieki wieków oczyszczone być nie może.*

Kiedym się nazajutrz udał do kaplicy na wzgórku stojącej, żeby tu mszę odprawić, ja i wielu innych dostrzegliśmy, iż kamień przywalający sklep grobowy skąd owi trzej wielekroć wychodzili, zawsze pierwiej nad poziom podłogi wzniesiony, teraz zapadł zupełnie, i tak do podłogi przystawał, że żadnej szczeliny odkryć nie można było.

Jeszcze tegoż samego dnia upakowałem powierzone mnie ruchomości i wysłałem naprzód, sam zaś zjadłszy obiad z członkami sądowemi powróciłem do własnej plebanii, odpocząć po trudach cielesnych i rozerwać nieprzyjemne wrażenia umysłu, w ostatnich dniach po wielekroć doświadczone. Następnie zaś stosownie do życzenia szanownego *Teophili Granovii* zajmę się opisaniem wydarzeń zaszłych w zamku Zawieprzickim, mając na celu jedynie naukę i poprawę potomnych wieków, *quod Deus bene vertat.*

ROZDZIAŁ VI.

Działo się w dzień Trzech Króli, roku 1704 około południa, kiedy pracowałem w mojem muzeum, posłyszałem turkot prędko jadącego pojazdu, który wkrótce potem zatrzymał się przed domkiem zamieszkałym przezemnie od lat kilku, to jest od czasu włożonego na mnie obowiązku asterza dusz plebanii Firlejskiej i sługi Bożego w tamiecznym kościele. Podniosłem oczy i spostrzegłem bogato lakierowaną i złożoną karete, z zaprzężonym cugiem sześciu ciemno kasztanowatych koni, bynajmniej jak widać długą podróżą niezmordowanych, bo dmuchając z nozdrzy kłęby pary powoli rozchodzącej się w chłodnem zimowem powietrzu, z niecierpliwości biły o ziemię kopytami. Kiedym się poruszył wyjść na spotkanie znakomitego gościa, przybyłego, jak się mi nie zdawało, dla widzenia na własne oczy ciekawości mego domu i ogrodu, wtenczas już trąbą stogebnej famy ogłoszonych, spostrzegłem chłopaka w karmazynowym odzieniu z galonami po wszystkich szwach, zresztą opięto ubranego, z zaplataną koską na

karku. Domyśliłem się, że to być musi *kamerdier* albo *valet de chambre* jakiegoś znakomitego pana. Jakoż wszedł on naprzód do plebanii, a potem do mojego muzeum i ukłoniwszy się bardzo grzecznie, polskim językiem ale z cudzoziemską, (bo to był Francuz, jak się potem dowiedziałem) oświadczył, że jego pan, młody pan Teofil Granowski, capitanaeus na Urzędowie i Janowie, świeżuteńko z zagranicy przybyły, dla odziedziczenia dóbr po stryja na niego spadłych, ośmiela się najusilniej upraszać, ażeby do zamku Zawieprzyc raczył przyjechać, gdyż mogę mu być pomocnym w bardzo ważnym duchownym interesie. Nie nader chętnie chciało mi się jechać do Zawieprzyc, bo w nich od czasu pobytu mojego w plebanii jeszcze noga moja nie powstała i wielki wstręt czułem do dawniejszego pana zamku, nie zbyt dobrze wspomnianego odgłosem publiczności i wielkiego jak mówiono nieprzyjaciela duchowieństwa i służby bożej; starałem się przeto niniejsze wezwanie jakkolwiek odwrócić od siebie, przypominając, że w pobliskiej od zamku wiosce mieszka wikaryusz, dawno już wyświęcony na kapłana, a tem samem mogący i obowiązany spełnić żądania pana *Teophili Granovi*, jeśli one nie przeciwia się duchownemu powołaniu. Ale gdy pokojowiec odpowiedział, że w tem, o co teraz rzecz idzie, świątobliwszego i bardziej doświadczonego kapłana potrze-

ba, niż wspomniany wikaryusz i że pan Grano-
wski szczególnie we mnie położył swoje zaufanie,
którego omylić nie zechcę;— a z drugiej strony, kie-
dy i ja sobie przypominałem, że wieści o nowym
dziedzicu Zawieprzyc wcale są inne, niż o jego
poprzedniku, bo też on naprzód w Akademii kra-
kowskiej, potem w Wiedniu, a nareszcie i w Pa-
dwie *litteris* i mądrości przez długi czas poświę-
cał się—przystąpiłem więc na jego żądanie, z tym
jednak warunkiem, że zaraz po skończonej rozmo-
wie odwiozą mnie nazad do mojej plebanii. Po-
czem wsiadłem do wspaniałej karety, gdzie się
także i Francuz najpokorniej naprzeciw mnie u-
mieścił i pędząc szybkim biegiem, prędko ujrze-
liśmy się nad brzegami rzeki Wieprza.

W podróży starałem się wybadać mego to-
warzysza, coby to za duchowny interes miał do
mnie pan starosta, ale kuszenie się moje było
nadaremne, odpowiedziano mi bowiem, że pan sam
o wszystkim mi opowie, słudze zaś nie przystoi
rozgłaszać tajemnic pana, ba i tak dobrego jeszcze!
Ta odpowiedź lubo mnie nieco zawstydziła, ale
powziąłem z niej dobre mniemanie nie tylko o
słudze, lecz i o panu, iż potrafił pozyskać do ty-
ła wierność otaczających siebie ludzi.

Zbliżając się już do zamku, spostrzegłszy sam
pałac okazałe wznoszący się po nad dachy domów
pobliskiej wioski, i o milę odległości widzieć się

dający, pomyślałem sobie: O jak szczęśliwym być musi człowiek, do którego ten pałac i otaczające go pola należą. Ta myśl mocniej mnie jeszcze zajmowała, kiedy podjechawszy pod same zabudowania zamkowe spostrzegłem owe spichrze, owe wspa-
niałe stajnie, owe sady francuskim gustem zasa-
dzone i przytykające do nich gęste zarośle!

Lecz ileż to moje mniemanie chwiać się po-
częło, skoro ujrzałem samego pana Teofila Gra-
nowskiego, który, nie mogąc zarzucić, przyjął mnie
z wielką grzecznością i przed drzwiami jeszcze
powitał. Jak się zdawało nie miał on więcej nad
lat dwadzieścia pięć, był pięknej postaci, ale twarz
miał bladą i bardzo zmienioną, a oczy smutne
i czerwone, jakby oddawna nocnego spoczynku nie
doświadczał. Dworscy i inni służący przy nim ze-
brani zdawali się podzielać pańską niecierpliwość
względem mojego przybycia, nie byli nawet tak
hardzi i nadstawni, jak to częstokroć spostrzedz
można na dworach naszych magnatów. Ten widok
zrodził we mnie podejrzenie, że za prędko nieco
wnioskowałem o sposobie myślenia pana, sądząc
o nim z pochwał przez Francuza dawanych. Jakem
już wspomniał, pan Teofil Granowski powitał mnie
arcyuprzejmie, ale zauważyłem, że z widocznym
pospiechem starał się mnie wyprowadzić z sieni
sam zaś mijając drewnianą wieżę do wschodów
przypartą i aż pod dach zamku wznoszącą się,

wyrażnie na kilka kroków ją obchodził. Również spiesznym krokiem prowadził mnie przez wszystkie przepysznie, zbytkownie nawet ozdobione pokoje, a pomiędzy innemi i przez małą salę rzędem słupów z galeryą połączoną i złożonemi rzeźbami wspaniałe jaśniejącą. Już i z niej miał mnie wyprowadzić pospieszny mój gospodarz, gdy oto w tejże sali na ścianie spostrzegłem wielki obraz, że zaś jestem amatorem a nawet cokolwiek i znawcą pięknej sztuki malarstwa, jednym rzutem oka rozpoznałem, że to nie partacz ten obraz malował; prosiłem przeto pana Granowskiego, żeby mi pozwolił przez kilka chwil przypatrzeć się temu malowidłu; prośba moja nie bardzo chętnie przyjętą została, widziałem nawet wyrażnie, że już usta otworzył chcąc mi odmówić, ale szlachetna grzeczność i prawo gościnności cofnęło niepomyślny wyrok, zamilkł, i ledwo skinieniem głowy dał poznać, że przystaje na moje żądanie. Przedmiot obrazu, o którym wielekroć wspomnieć mi się zdarzy, tudzież sztuka pędzla, mocno mnie zajmowały: przecież nie mogłem i na to być ślepym, że pan Teofil nie chciał patrzeć na owo wyborne dzieło włoskiego mistrza. Stał on przy oknie głęboko zamyślony, częste westchnienia wydobywały się, z piersi jego i smutnie spozierał na widok obumarłej natury i na rzekę Wieprz lodem pokrytą. Gdy spostrzegł, że już skończył przypatrywać

się obrazowi, prędko mnie z sali wyprowadził, jakby go kto do tego zmuszał. W niezbyt stąd oddalonym pokoju, w rogowej wieży zamku położonym, znaleźliśmy stół nakryty na dwie osoby. Tu mnie dopiero pan domu jeszcze raz i to jak najgrzeczniej powitał prosząc, abym wypoczął i pokrzepił się nieco po mojej podróży.

Kiedym chciał zwrócić rozmowę na przedmiot, dla którego byłem przywołany, odpowiedziano mi, że po jedzeniu dosyć będzie czasu mówić o interesie. Także kiedy zacząłem wspominać o owym obrazie, zazdroszcząc szczęścia i możliwości bogaczom, iż mogą zbierać z taką łatwością około siebie co tylko jest najwytworniejszego w sztukach i przyrodzeniu, pan Granowski uchylał się od tej rozmowy, i niby czem innem zajęty, z wyraźną oznaką niecierpliwości rozkazywał służącym podawać nowe potrawy. W czasie jedzenia znajdował się on jak uprzejmy gospodarz podług starego i chwalebego zwyczaju szlachty naszej, częstując mnie wszystkim, co tylko być może uajkosztowniejszego tak z potraw jako i napojów, ale sam dobrego przykładu wcale mi nie dawał; chociaż najdelikatniejsze przysmaki tak z krajowych jako też zagranicznych płodów, smaczno przez francuzkiego kucharza zaprawione, samym widokiem łechtały podniebienie, a przy nich kryształowe butelki

z węgrynem, małmazją i winem burgońskim zawczasu powoływały do dobrej myśli.

Po skończonej wieczerzy, kiedy zupełnie stół uprzątnięto, a pokój oświecono jarzącymi świecami, w ciężkie srebrne lichtarze osadzonemi, dworscy zostawili mnie sam na sam z młodym panem starostą. Od niejakiegoś czasu chodził on wielkimi krokami po pokoju, nareszcie przybliżył się do mnie i widocznie w głębi duszy poruszony, niepewnym i przerywanym głosem tak przemówił

— Proszę cię szanowny panie, chciej zwrócić całą uwagę na to, co ci mam powiedzieć: jakkolwiek to, co usłyszysz dziwnem ci się wydać może. Ale naprzód chciej mi szczerze wyjawić twoje zdanie względem pewnego mniemania, oddawna lecz szczególnie w naszych czasach zbijanego, jakkolwiek ono z drugiej strony silnych ma obrońców: powiedz mi tedy, czy uważasz za rzecz podobną do prawdy, żeby umarli mogli przełamać nieprzeparte zapory grobu, a potem pokazywać się w rozmaitych postaciach żyjącym ludziom i przemawiać do nich?

— Szanowny panie starosto! odpowiedziałem, — jakkolwiek za dni naszych przeciwko temu mniemaniu wielu zapalczywych i szyderskich znalazłoby się przeciwników, między nimi zaś liczy się naprzód sławny Thomasius z Halli nad Saalą, ale z drugiej strony, iż nie wspomnę o

gminnych podaniach, ani też nad ich gruntownością zastanawiać się będę, tę tylko zrobię uwagę, że i na kartach dziejów często czytamy opisanie zdarzeń, żadnej wątpliwości nieulegających. Pomiedzy innemi mamy widoczny przykład na królu Bolesławie śmiałym, iż duchy zemsty pędziły go przez lasy i pustynie za zabójstwo świętego Stanisława. Alboż znowu nie wiemy o weselu duchów piekielnych radujących się ze śmierci Zawiszy, biskupa krakowskiego, zmarłego za czasów króla Ludwika? Zaiste o tym wypadku wątpićby należało, gdyby o nim świadczyli mniej uczeni i mniej świątobliwi kapłani, niż *exempli gratia* Długosz, Miechowita i Kromer: twierdzą oni bowiem, iż duchy podziemne przerażającymi głosami wykrzykiwały przy katafalku zmarłego Zawiszy: *Dalejże teraz na biesiadę*: co słysząc dwaj stróże przytomni, pomarli ze strachu. Zresztą czytamy, że Chrystyan król duński własnoręcznie wytoczywszy krew niewinnych dzieci szwedzkiego rządcy, Stenone Stura, co noc potem widział dwóch małych trupków u głów łoża swojego, tak, iż stąd wpadł w obłąkanie, a następnie w haniebnem więzieniu nie tylko koronę, ale i życie postradał. A wszakże i owa zapalczywa nieprzyjaciółka prawego wyznania, owa Elżbieta, królowa angielska, kiedy już leżała na łożu śmiertelnem dały się jej widzieć wszystkie ofiary jej morder-

stwa, a szczególnie w Bogu zeszła światobliwa królowa szkocka, Marya Stuart i ów kochanek Elzbiety hrabia Essex. Z tych i innych przykładów nieodzownie powiedzieć można, że kiedy zbrodnia ukrytą została, albo kiedy złoczyńca nadto jest możnym, żeby go ramię ludzkiej sprawiedliwości dosięgnąć mogło, pod ten czas mówię, sprawiedliwe niebo samo karę domierza i otwierają się usta umarłych, żeby przywołać zemstę na głowę nieukaranego złoczyńcy. A wskrzeszenie Piotryny przez samego Chrystusa czyż nie jest obrazem tej siły niebieskiej, mocą której umarli przeciw żywym świadczyć mogą? Lecz niech Bóg miłosierny dom ten ochroni swoją świętą opieką od tak strasznych nawiedzin.

— Daj to Boże, zawołał pan Teofil z cicha i z przerażeniem powtarzając moje słowa: *otwierają się usta umarłych, żeby przywołać zemstę*; po czem mówił głośniejszym głosem: — A cóż powiesz panie kanoniku, że może znajdujesz się w domu, którego niebo nie ochroniło od tak strasznych nawiedzin?

Z początku z zadziwieniem spojrzałem na pana starostę, ale też przyszły mi na myśl wieści o jego stryju; westchnąłem przeto głęboko i spuściłem oczy ku ziemi: pan Teofil zaś tak dalej mówił:

— Szanowny panie! jesteś jak wiem to dobrze doświadczonym i pobożnym kapłanem, w tobie też pokładając zaufanie, objawiam wiele rzeczy tajemnych i wzywam twojej pomocy w nader ważnej

sprawie. Ażebyś zaś skutecznie mógł i działać i radzić, opowiem wszystko co i jak się stało:

Sierota od lat dziecinnych, podług woli świętej pamięci nieboszczyka ojca mojego, byłem na-przód oddany do szkół w Krakowie, a następnie w siedmnastym roku życia mojego przywieziony do akademii padewskiej, gdzie oddałem się naukom politycznym, jako najpotrzebniejszym dla polskiego szlachcica. Wtem otrzymałem z Polski wiadomość, iż z dwóch braci moich stryjecznych, a dziedziców zamku Zawieprzyckiego, starszy w pojedynku życie zakończył. Za tą wiadomością pospieszyła druga i o młodszym, iż ujeżdżając dzikiego konia spadł i tak mocno skaleczył się, że ledwie dni kilka żył po swoim przypadku. Przy tych doniesieniach radzono mi jak najprędzej powrót do ojczyzny; ponieważ ja teraz miałem być dziedzicem rozległych posiadłości mojego stryja, który przy głęboko pochylonym już wieku, tudzież z powodu nie bardzo wzorowego sposobu życia, podług wszelkiego podobieństwa nie wiele dni do śmierci liczyć może. — Nie miałem dotąd sposobności poznać osobiście mojego stryja, gdyż wielka odległość Ukrainy, gdzie były nasze dobra, od województwa Lubelskiego, była temu na przeszkodzie. Wiedziałem jednak, że ojciec mój i stryj zdawali się w nienajlepszej z sobą być zgodzie, co większa, mój ojciec powróciwszy od brzegów

rzeki Wieprza, ciągle w smutku i niespokojno ść pogrążony, z niewiadomej nam przyczyny, ale skutkiem podróży, jak się zdawało, życie zakończył. Jakkolwiek zachowywano jeszcze chwalebny zwyczaj, iż przed młodszymi nie wykrywano błędów tych osób, którym od nich należy się uszanowanie; jednakże nieraz doszły moich uszu wiadomości, utwierdzające mnie w przekonaniu, że mój stryj, pan Jan Granowski, chociaż jest walecznym rycerzem i sławnym wodzem, ale jego sposób myślenia nie jest bez nagany. Stąd też chcąc raczej wypełnić powinność, niżeli idąc za popędem serca, opuściłem Włochy i po krótkim pobycie w Krakowie przybyłem do tego, przy kim zastąpić miałem miejsce synów, z wyroku losów tak mu nieszczęśliwie wydartych: zaiste nie spodziewałem się uprzejmego przyjęcia, ale to jakiegom doświadczył przeszło moje oczekiwanie. Mój stryj upatrzył, że jestem chciwy jego dziedzictwa i począł z niechęcią spoglądać na mnie. Twarda i zimna dusza Kasztelana malująca się w jego surowej postaci z zasepionem czołem, nie była zapewne pocieszającą dla mnie, co w ojcowskim domu i za granicą przywykłem do łagodnych obyczajów i jakkolwiek dziwno mi było, że po pierwszym przywitaniu ani jednego słowa wyrzec nie raczył, że życzy sobie, żebym pobył przez czas niejakiś w Zawieprzycach, a nawet nie kazał roz-

pakować mojgo pojazdu; wewnątrz jednak byłem szczerze ucieszony, iż porzucę ten dom, gdzie zaraz na pierwszym wstępie nieprzyjemnego doświadczyłem wrażenia.

Jak pan tak i służący wszyscy byli ponurzy i nie towarzyscy, ale za to pijaństwo i swawola widocznie tu sobie siedlisko obrały. Przełożonym nad innymi dworskimi, był jakiś stary służący, którego rysom nie bez wstrętu, a nawet nie bez tajemnej bojaźni przypatrywałem się, zwłaszcza, co mi bardzo było dziwno, iż on wcale nie okazywał swojemu panu owej uległości, owego niewolniczego nadskakiwania, z jakim inni słudzy, a nawet i obecna tutaj pograniczna szlachta, słuchała strasznego rozkazodawcy; owszem, ilekroć przystępował do pana, widać było na nim rodzaj jakiejś przewagi i gburowatej przekory.

Ponieważ była to pora obiadowa, nie mógł pan zamku odmówić mi miejsca u nakrytego stołu; potrawy były smakowite a nawet zbytkowe; przecież z niecierpliwością czekałem końca obiadu, bo tocząca się podwówczas rozmowa nie mogła mi się podobać; powieści o wojnie i o polowaniu, niedorzeczne sądzenie o współczesnych wypadkach i o handlu, żarty więcej niż swawolne, były przedmiotem ciągłego gwarzenia, a coraz to wysłano się na przesadzone pochwały Jaśnie Wielmożnego *Karmiciela*. On zaś zanadto dumny, żeby miał

zaszczycić uwagą rozmowę współbiesiadników, w ponurem milczeniu był więcej kielichem niż niemi zajęty. Ale i oni też za to nie żałowali sobie trunku, tak, że wszyscy oprócz mojego stryja, zapadto się podweselili, póki jeszcze nie wstali od stołu.

Po obiedzie weszliśmy do małej sali, przez którą ciebie przeprowadziłem szanowny ojcze! Pan Jan Granowski zasiadł na galeryi w ogromnem krześle, nic nie mówiąc spoglądał na okolice oświecone wówczas promieniami zachodzącego słońca; inni goście i dworscy podzieliwszy się na rozmaite grupy, cicho, żeby broń Boże nie przerwać głębokich dumań pana Kasztelana, szeptali pomiędzy sobą, częstokroć ciekawym na mnie poglądając wzrokiem.

Odosobniony i milczący w pośród nieprzyjaznego towarzystwa, zaczynałem już czuć cały ciężar mego położenia i owo wrażenie nieprzyjemne dla mnie, sprawione na umysłach przytomnych zauszników, gdy wyczytali z oczu Kasztelana widoczną jego niechęć dla swojego synowca i przyszłego dziedzica. Nie mając przeto lepszego zatrudnienia, poszedłem przypatrzeć się znajomemu ci obrazowi, który już i wówczas w małej sali był zawieszony. Od pierwszego rzutu oka poznać można było, iż jeden z dozorców przytrzymujących młodzieńca w turecki strój przybranego, był to

marszałek dworu, ów zaś groźny rozkazodawca, sam Kasztelan. Zachodząca zorza wieczorna rzucając promienie na twarz jego, bardziej jeszcze wyraźnem czyniła straszne to podobieństwo. Ale dosyć już poznałem duch osób zamku i charakter stryja, ażeby powstrzymać pytanie co już mi się na ustach kręciło.

W tej samej chwili wszedł do sali *Saint Felix*, mój pokojowiec, z dużą aksamitną teką; przybliżył się do mnie i pytając o coś przypatrywał się obrazowi. Wtem obejrzał się na mnie pan Kasztelan i mierząc mnie przenikającym wzrokiem, rzekł złośliwie i szydersko:

— Rozgościłeś się panie Teofilu jak we własnym domu, ale poczekaj jeszcze, Zawieprzyce nie twoje.

— Owo prawdziwie godne wzgardy zapomnienie na wszelkie prawo gościnności i pokrewieństwa, poruszyło mię do żywego, tak, iż wręcz mu odpowiedziałem.

— Stryj się myli, stanie mi własnych zamków i wsi, żebym miał tu być niepotrzebnym ciężarem; w tej zaś tece znajdują się sztychy i malowidła znakomitszych włoskich malarzy, w ciągu mojej podróży pozbierane, chciałem je pokazać, może się które z nich podoba, bo jak widzę stryj ma upodobanie w sztuce malarskiej. Na te słowa czoło pana Jana bardziej się jeszcze za-

chmurzyło, jednak milczał, kiedy *Saint Felix* rozkładał na stole tekę z malowidłami. Przezierał je kasztelan pilnie i z wielką uwagą, a jeżeli się odezwał ze swoim zdaniem, z kilku słów poznać można było, że sztuka malarska wcale mu obcą nie jest, że wiele widzieć musiał i że nie zawsze wiódł takie życie, jak teraz. Wpadł mu nareszcie w ręce pięknie wypracowany miedzioryt wyobrażający Filipa Pięknego, króla francuskiego, który skazał na śmierć Templaryuszów i ich Wielkiego Mistrza, a w rok później, jak mówią, sam przez sąd Boga powołany został. Miedzioryt odznaczał się szczególniejszym podpisem, były bowiem pod nim następujące słowa:

Non pour avoir puni le rebelle Flamand,
Ni pour avoir dompté l'orgueil de Boniface:
Mais par un formidable et secrêt jugement
Le Ciel flettrit mes jours et fit périr ma race. (*)

Kiedy mój stryj przeczytał te wiersze, bladeść nadzwyczajna pokryła twarz jego, tak, iż w tej chwili do trupa raczej niż do żywego był podobny: drżącą ręką, jak gdyby zimny dreszcz przejął szpik wszystkich kości jego, zamknąwszy

(*) Nie za to, że ukarałem zbuntowanego Flamandczyka ani też, że poskromiłem dumę Bonifacego; lecz strasznym i tajemnym sądem nieba życie moje więdnije i moje plemię zniszczone zostało.

„Zamek Zawieprzycki“

tekę oddał ją prędko mojemu służącemu: sam zaś tak głośno i straszliwie śmiać się począł, że ściany sali zadrżały, a wszyscy obecni z przełknięciem zwrócili na nas uwagę. Ochłonawszy nieco z pierwszego uniesienia, umiarkowańszym głosem, ale z właściwą jemu wzdargą i dumą rzekł do mnie:

— Dziękuję ci panie synowcze za twoje malowidła, nic nie chcę twojego, bogdajbyś mojego nic nie potrzebował. Tymczasem przestrzegam nie chciej zadawać sobie niepotrzebnych trudów odwiedzając mnie w Zawieprzycach, aż póki sam panem ich nie będziesz. I jeżeli to ma koniecznie nastąpić, życzę szczęścia! A jeżeli cię to spotka co ja myślę, wspomnij wtedy o mojem dobrem życzeniu i o owym podpisie obrazu króla Filipa: teraz zaś bądź zdrow, już jest dosyć późno, a jeszcze daleko ci do noclegu

Nie miałem czego dłużej czekać i owszem z pospiechem opuściłem zamek, zdumiały i odurzony tem wszystkim, co widziałem i słyszałem; wtenczas dopiero uspokoiłem się nieco, kiedy odjechawszy dalej straciłem z oczu zamek zawieprzycki.

Długi pobyt za granicą i dojście do pełnoletności czyniły moję obecność pod ojczystym dachem nieodbicie potrzebną. Urządziwszy zaś nieco interesa nabrałem ochoty poświęcić się na usługi ojczyźnie,

a tem samem tak jak i przodkowie moi dostąpić urzędów i wysokich godności, jakich wówczas polski szlachcie równego mi urodzenia łatwo się mógł spodziewać. Udałem się przeto do Warszawy, gdzie rozpoczęte zamieszki ciągle podlegane polityką Szwecyi, tudzież innych krajów sąsiedzkich, całe królestwo waśniły.

Uczucie powinności i wrodzona skłonność, nie zaś żadne stosunki familijne, powołały mnie na stronę prawego naszego króla Augusta II go Sasa. Robiąc ten wybór nie myślałem wcale o moim stryju, stąd też obojętnie przyjąłem to doniesienie, że on zupełnie pochwała moję postępowanie i że daleko przyjaźniej o mnie wspomina od czasu jak zacząłem być przeciwnym domowi Sobieskich i faccyom arcybiskupa, gnieźnieńskiego, kardynała Radziejowskiego. Także i król dowiódł znowu właściwej sobie szczodrobliwości, nadając mi bogate Starostwa Urzędowskie i Janowskie, co przy tak młodym wieku moim, obiecującą było rękojmią przyszłych łask jego. Tym sposobem bardziej się jeszcze powiększyły i tak znakomite moje dochody, stąd też nie cieszyłem się bynajmniej z odebranego wezwania Grodu Lubelskiego, żebym wszedł w posiadłość dóbr spadłych na mnie dziedzictwem po nagłej śmierci Jana Nepomucena Granowskiego.

R O Z D Z I A Ł VII.

Przyjaciele i krewni moi upatrywali wielkie szczęście w tak prędkim odziedziczeniu ogromnych posiadłości, ale ja czując wstręt do tego miejsca, gdzie nowe zatrudnienia i nowe obowiązki teraz mnie powoływały, zwlekałem ile mogłem mój wyjazd. Nareszcie, okoliczności nie dozwalały dalej się ociągać i czemu łatwo uwierzysz szanowny Odoniczu! najchętniej przyjąłem oświadczenia Stefana Ostroroga, Antoniego Zborowskiego, dwóch młodych dworzan króla Jegomości, a zaufanych przyjaciół moich, że mi towarzyszyć będą podczas uroczystości wjazdu do Zawieprzyc, gdzie mieli się razem zabawić polowaniem na obfitych w zwierzynę brzegach rzeki Wieprza.

Dzień naszego przybycia był zapowiedziany; cały zamek oświecono wspaniale, okoliczna szlachta licznie się zebrała, życząc poznać i powitać nowego sąsiada i patrona. Wieśniacy i czeladź stawiała się także przed nowym swoim panem i w rzeczy samej radość, z jaką mnie przyjmowali, nie zdawała się przesadną. Czuły byłem na ich ufność we

mnie pokładaną i szczerę w duszy robiłem postanowienie spełnić ich oczekiwania, a szcudrobliwością i łaskawem obejściem się zatrzeć pamięć twardej niedoli pod tyrańską władzą przeszłego ich pana doświadczonej. Jeden tylko z obecnych nie zbyt łaskawem okiem spoglądał na przyszłą odmianę i na jej sprawcę; był to właśnie ów stary *Major domus*, o którym wprzód już wspomniałem. Ledwo oddał mnie uszanowanie, jakie mu stan jego nakazywał, już za jednym spojrzeniem wyczytałem z jego twarzy sprzeczną mieszaninę niewolniczej bojaźni i podstępnej zuchwałości. Obchód przybycia mojego przeszedł jak i inne uroczystości tego rodzaju; sądziłem jednak za rzecz potrzebną zastosować się do obyczajów nowych sąsiadów. Nie oszczędzano przeto napełnionych piwnic i bezustannie spełniano puławy w pamięć zeszłego Kasztelana i za zdrowie nowego dziedzica Zawieprzyc. Oddawna przywykły mało znajdować przyjemności w podobnych bankietach, tudzież znużony podróżą, udałem się wcześniej na spoczynek. Stary *Major domus* na dole przygotował dla mnie pokój sypialny, nie zważając na przestrogę mojego Saint Felixa, że jabym wolał światłe i przystępniejsze wolnemu powietrzu, drugiego piętra mieszkanie.

W samej rzeczy, chociaż pokoje dla mnie przeznaczone, kosztownie francuskim gustem były przybrane, jednak, gdy adamaszkowe bogate obi-

cia i kobierce aksamitne nie zmniejszyły ponurości mieszkania, chętniebym się przeniósł na drugie piętro. Ale że już późno było myśleć o jakiej odmianie, pozostałem przeto na dole; przeciwnie towarzysze mojej podróży zabawiwszy się nieco dłużej pośród bankietujących, postanowili mieszkać na górze, żeby nasycić się widokiem pięknych okolic i wolnem powietrzem, gdyż tej przyjemności w czasie długoletniego pobytu w stolicy dawno nie doświadczali. Wszystkie przestrogi i usiłowania marszałka dworu chcącego zmienić ich zamiar ten jedynie miały skutek, iż zalecili mu precz odejść, a własnym służącym kazali pownosić rzeczy do pokoiów, jakie sami sobie powybierali.

Nazajutrz zszedłszy się z nimi w czasie śniadania dostrzegłem, że weseli niegdyś przyjaciele moi, byli w złym humorze i milczący. Kiedym żartując pytał, czy w rzeczy samej pierwszą noc w Zawieprzycach tak niespokojnie i bezsennie przepędzili, jak się z ich smutnych postaci domyślać było, odpowiedział Zborowski: można.

Ale też nudna to tłuszcza ta drobn szlachta; wierz Teofilu, na twoje uczyty zapraszaj drugi raz towarzystwo więcej do ciebie i do tych pięknych pokoiów przypadające. A gdym go upewnił, że ta rada zupełnie z mojem zgadza się życzeniem, a razem pytałem, jaką mu przykreść zrobili moi sąsiedzi, pan Antoni tak dalek mówił:

Jeszcze i po twojem odejściu porządnieśmy spijali dobre wina twojego stryja nieboszczyka i dopiero koło godziny dziesiątej sprzykrzywszy sobie hałas, udaliśmy się do naszych pokojów. Po niejakiem czasie wszystko zupełnie ucichło. Sądzić wypadało, że panowie sąsiedzi już się z zamku oddalili, a wtenczas i my także zabrawszy się do spoczynku wcale nam potrzebnego, poczęliśmy zasypiać. Sen jednak nie trwał długo, gdyż najdalej po godzinie zaczął się hałas na nowo, daleko silniejszy niż pierwej, a nie obeszło się zapewne na sucho, bo i jęki jakieś słyszeć się dawały. Wstałem i chciałem się zbliżyć do miejsca, gdzie się kłótnia odbywała, podszedłszy pod okna, postrzegłem na poddaszu odbicie migających promieni, przez co dorożumiałem się, że owi bohaterowie w zapale bitwy, twoich lichtarzów zamiast oręża używać muszą. Pomyślałem sobie, że każdy pośrednik, coby wlaźł pomiędzy kupy tych szaleńców, małoby miał podziękę i mało sławy za swoje usiłowania; wolałem więc pójść do Stefana Ostroroga, który, że mieszkał nieco dalej od miejsca gdzie hałasowano, ledwo teraz o budził się. Naradzaliśmy się wspólnie, czy nie wypadałoby ciebie samego o tym nieładzie uwiadomić, gdyż niebezpieczeństwo pożaru albo inna jaka szkoda łatwo stąd mogła wyniknąć; ale wtem wszystko powróciło do dawniejszej spokojności i

my powtórnie ułożyliśmy się do spoczynku. Znowu atoli dał się nam słyszeć krzyk przerażający tuż w pokoju za drzwiami Ostroroga położonym a wkrótce potem nastąpił głuchy i groźny łoskot, jak gdyby coś ciężkiego upadło na ziemię. Przestraszeni myślą, że który z nieuważnych biesiadników przez schody na łeb poleciał, zbiegliśmy na dół chcąc mu dać jakąkolwiek pomoc; ale nic więcej nie posłyszeliśmy i nikogo nie dostrzegli. Już i lampy pęgały, nie było światła w sali bankietowej i wszędzie ciche nastąpiło milczenie; jednakże tylekroć przestraszeni, jużśmy więcej zasnąć nie mogli: — od wschodu słońca błąkamy się po ogrodzie oczekując na śniadanie, którem teraz myślimy ułagodzić wszystkie nasze trudy i przeszłe nieprzyjemności.

Nie zgadzało się z moim sposobem myślenia, żeby takie rozpasane postęпки znowu w zamku odnowić się miały, jak to i wprzód za dawniejszego dziedzica bywało; oświadczyłem przeto moim dworskim jedyne moje życzenie: żeby każdy zachował wstrzemięźliwość i nikt przeciwko obyczajności nie wykraczał. Jednogłośnie wszyscy mi odpowiedzieli że zaraz po oddaleniu się obu panów, wskutek bezustannych nalegań marszałka dworu ledwie pół do jedenastej wybiło a już ostatni gość z dziedzińca zamkowego wyjechał. Myślałem przeto, że sami dworscy dopadłszy ostat-

ków bankietu, z nadto musieli użyć wina dla po-
krzepienia umysłu i rozweselenia serca. Lecz są-
dząc, że dana przezemnie przestroga była dosta-
teczną, a zwłaszcza, że w salach nie było wię-
kszego nieporządku, niż po zwyczajnych ban-
kietach, nie śledziłem dalej przyczyn nocnego ha-
łasu.

Drugiego dnia pobytu mojego w Zawieprzy-
cach otworzyliśmy testament pana Jana Nepomu-
cena Granowskiego, sporządzony na czas niejakiś
przed jego śmiercią i złożony w sądzie grodzkim
lubelskim. Czytanie jego odbyło się w przytomno-
ści członka sądowego i innych świadków, lecz nie
w nim szczególniejszego nie znaleźliśmy. Świętej
pamięci kasztelan wyraziwszy, iż mnie ogólnym
dziedzicem swoim stanowi, wskazywał powody, dla
jakich cały mój majątek powinien przejść w dom
panów, gdy ja umrę bezdzietny. Dalej robił roz-
maite zapisy pewnym kobietom, co dotąd w zam-
ku mieszkały, lecz przed samym moim przyjazdem
wyniosły się z Zawieprzyc. Były i inne dary dla
rozmaitych służących dworskich, ale najważniejszym
ze wszystkich był zapis uczyniony wspomnianemu
staremu *Marszałkowi dworu*. Darowano mu bo-
wiem dom przy zwierzyńcu położony polami
znacznej obszerności i wielą wygod, zamieniające-
mi taką posiadłość na rodzaj majątku zupełnie
niepodległego. Lecz na zakłady pobożne żadnych
zapisów nie było. Stary Marszałek wspólnie z in-

nymi obecny czytaniu testamentu, był jak widać jeszcze niezadowolony ze wspaniałego daru i skoro tylko oświadczyłem jemu, że się zupełnie zgadzam z wolą nieboszczyka stryja mojego i dozwalam mu zabrać całą jego własność, napakował kilka wozów rozmaitemi ruchomościami i opuścił zamek, zrzekłszy się obowiązku dotąd przez się sprawowanego. Ta ostatnia okoliczność niezmiernie mnie ucieszyła, gdyż tym sposobem pozbywałem się niezdolnej dla mnie figury, a powinność Marszałka dworu mogłem powierzyć innemu z moich zaufanych, oddawna przy mnie będącemu.

Ostrorog i Zborowski unikając sądowych zatrudnień pojechali obejrzeć knieje Zawieprzyckie, mając zamiar bliżej je potem rozpoznać w ciągu polowania, a powróciwszy właśnie w porę obiadową, znaleźli już u stołu kilku pogranicznych sąsiadów, tudzież kilka osób sądowych i miejscowego wikaryusza. Spodziewać się należało, że zatrudnienie przedobiadowe, a szczególnie zmarły dziedzic i jego urządzenie, będą przedmiotem obszernej rozmowy; prowadzono ją jednak z taką ostrożnością, że łatwo można było poznać, iż obecni goście będąc innego sposobu myślenia niż wczorajsi, dla tego tylko tak są przezorni i milczący, że nie chcą obrazić gospodarza szkalowaniem blisko spokrewnionej z nim osoby. Jeden tylko Wikaryusz śmielszym był z tego względu. Już od dawnego czasu, jak się dowiedziałem, zostawał on w cią-

głych sporach z moim stryjem, ale obawiając się go tak jak i inni za życia do milczenia był zmuszony.

— Dopiero po śmierci, zwłaszcza gdy i kieliszki rzęsiściej krążyć poczęły, postanowił użyć sercu swojemu wynużeniem żalów. Oświadczył przeto, że dawniejszy pan zamku nie nie zapisując dla kościoła i klasztorów, sprawdził powszechne o nim mniemanie, że był nieprzyjacielem duchowieństwa i oziębłym chrześcijaninem: ale dobrzeby zrobił, gdyby troszcząc się o dobra ziemskie, nieco i o zbawieniu duszy pomyślał, zamiast tego co miał wzbogacać wszeteczne kobiety i niegodziwych zauszuików, jakim był szczególnie marszałek dworu Marcia Śliwek i bez tego za życia pana aż nadto nagrodzony za swoje przestępstwa. Nie ukrywajcie zdań waszych zacni panowie, tak rozgrzany winem i długo tajoną zawziętością ozwał się wikaryusz do zgromadzonej szlachty, z pomieszaniem na ninnie spoglądającej. A wszakże i sam pan starosta nie może się pochwalić przychyłnością stryja ku sobie: przy innych bowiem okolicznościach pewnie byłby od dziedzictwa usunięty; teraz zaś nie bardzo mu przyjemnie być musi, że ma mieć w bliskości zamku starego poczwara, który i w godzinę śmierci nie będzie się mógł pochlubić ani jedym dobrym uczynkiem, w ciągu całego życia spełnionym.

Zaiste, powie z niejakaś bacznością Podstoli

Wojewodzki, Ludwik Podhorodyski, wyznać potrzeba, że punkt testamentu zmuszający pana starostę utrzymywać owego starca w swoich posiadłościach i muie i wszystkim co jemu dobrze życzą, wcale się nie podoba. Nikt dotąd o Sliwku nic dobrego w sąsiedztwie nie mówi, inni nawet wielkie winy mu zarzucają; ale zresztą i dobrze się stało, że świat już je puścił w zapomnienie.

Jeżeli szanowny panie chcesz usłuchać mojej rady, tak mówił dalej wikaryusz, staraj się pozbyć tego człowieka, przez wzgląd, iż gdy on dotąd z nikim się jeszcze nie ułożył, panu tem bardziej będzie solą w oku. Któż tego nie wie, że to on poróżnił Kasztelana z świętej pamięci ojcem pańskim, który z powodu tej niezgody mocno zachorował, a potem nagle Zawieprzycę opuścił; kiedy tu przybył jedynie dla tego tylko, żeby go jako brat przestrzegł w tem, za co król Jan IIIci i cała Rzeczpospolita widocznej niechęci dali mu dowody. Więcej powiem, wszakto nie jest rzecz tajemna, że stary silną miał przewagę i wpływ na umysł swojego pana i że pomimo bliskie pokrewieństwo, zachodzące stosunki i *pacta* familijne, chciał ciebie panie od dziedzictwa usunąć, a dla siebie i swojej nikczemnej rodziny cały majątek uzyskać. Być może, że i w rzeczy samej potrafiłby zamiar przywieść do skutku, gdyby sądem Boskim kasztelan nagle życia nie zakończył. Tak bowiem majątek dostał się temu, komu

się należy wedle słuszności, a kara zawiedzionej nadziei spadła na tego, kto na stokroć cięższą oddawna zasłużył.

Wspomnienie powodu śmierci ojca mojego mocno mnie poruszyło; żeby więc zwrócić rozmowę na inny przedmiot, zapytałem, jakim sposobem zakończył życie pan kasztelan, gdyż wprzód nie wiedziałem nawet i tego, żeby był złożony jaką chorobą.

— Jego choroba Jaśnie Wielmożny Starosto ozwał się wikaryusz była nieuleczalna chociaż nie cielesna.

Mówiłby i dalej, ale pan Franciszek Chomieniecki, podczaszy i *instygator* sądu powiatowego przerwał mu opowiadanie, uważając zapewne, że opis w jego ustach nadto mógłby być dobitnym,

Daruj mości księżu wikary, że ja szanownemu gospodarzowi podejmę się opowiedzieć całe to wydarzenie, a to dla tego, że o niem lepiej niż kto inny świadczyć mogę, będąc sam obecnym przy opieczętowaniu pokojów, zaraz po zgonie nieboszczyka dokonaniem. W dzień jego śmierci, takie jest brzmienie protokołu ów przypadek opiewającego, pan kasztelan wychodząc z małej sali, gdzie najczęściej zwykł był przesiadywać, widocznie w złym humorze i mocno poruszony, chciał się spuścić w swoim windowanem krześle na dół na pierwsze piętro. Jak świadczą przytomni służą-

cy, chód jego był chwiejący się i niepewny, co powszechnie przypisują zbytecznemu używaniu gorących trunków, których kasztelan w ostatnich latach życia sobie nie żałował i z tego to pono powodu chcąc usiąść na krześle, nie trafił na nie nadspodziewanym przypadkiem i z krzykiem przez drewnianą wieżę padł głową na kamienny pomost, gdzie stłukł się śmiertelnie.

— Ej, nie gorące trunki, przebaknął wikary, były powodem tego, przypadku: chociaż z resztą nie będę przeczyć temu, co mówi Jaśnie Wielmożny Podczaszy, to tylko dodam, że kiedy przybyłem do chorego z duchowną pomocą, już jego dusza opuściła ziemię bez spowiedzi świętej i bez rozgrzeszenia.

Nie słyszałem, co mówił dalej wikary, gdyż zwróciwszy oczy na moich przyjaciół, dotąd mały udział biorących w rozmowie i tylko pomiędzy sobą o polowaniu rozprawiających, spostrzegłem, że bladość twarzy ich pokryła i że z widocznym pomieszaniem spoglądali na siebie, chcąc dać poznać, iż powieść Chomienieckiego przypominała im wydarzenie przeszłej nocy.

Chomieniecki tak dalej mówił: — Ale o tem przestrzec muszę pana starostę, iż nie spostrzegam teraz wielu sprzętów kosztownych jakie były w zamku za życia Kasztelana i czego niezaprzeczone pozostały ślady; nadto, służący zgodnie gło-

szą, że marszałek dworu szczególnie był czynnym po śmierci pana zamku.

— Nie masz wątpliwości, ozwał się znowu wikary, że te npakowane wozy, co to Jaśnie Wielmożny pan przez wspaniałomyślność przetrząść nie kazałeś, wiele ruchomości z sobą uwiozły, wcale testamentem panu Marcinowi niezapisanych. Sądzę jednak, że Jaśnie Wielmożny starosta nie zostawi jego posiadłości rzeczy samowolnie zabranych.

Niech się z tem trzyma, co już ma, — powiedziałem roztargniony i z sercem wzruszonym, — nie wzdycham do tamtych skarbów; urządzenie zaś stryja mojego postanowiłem święcie szanować i dla tego nie będę przeszkadzał temu starcowi używać w spokojności tego, co mu się dostało, zwłaszcza, że uważam z mowy szanownych gości, iż bliższe śledzenie zaszłych wypadków nie pocieszne rzeczy na jaw wydaćby mogło.

Tak też przyrzekał kól Izraelicki owemu *Simei*, mówił dalej duchowny, iż mu pozwoli się w jego głowę spokojnie zanieść do grobu, dopóki by ów nie przeszedł rzeczki Cedronu. Ale ja przepowiadam Jaśnie Wielmożnemu Staroście, że nic z tego nie będzie, bo zemsta nieba i wasza nawet, niezbędnie go czeka.

Resztę obiadu przepędzono na obojętnej rozmowie, do której ja i dwaj panowie z Warszawy przybyli, ile można najmniej mieszaliśmy

się. Następnie, kiedy już goście zabierali się do odjazdu, zbliżył się do mnie pan Ludwik Podhorodyski, podżyły i szanowny człowiek, a ściskając mnie za rękę, tak przemówił:

— Dziękujeny za uprzejme przyjęcie w tym domu, którego dotąd każdy lepiej myślący zdaleka unikał. Daj Boże, niech ci się lepiej w nim szczęści, niż innym, tak, ażebyś szlachetnem twojem postępowaniem, godnem ciebie Jaśnie Wielmożny Starosto i znakomitego rodu, mógł oddalić wszelkie niebłogosławieństwo, jeżeli jakie ciąży nad twoją rodziną. Tymczasem przyjmij to szczere i przyjacielskie życzenie i bywaj mi zdrów.

Słowa pocziwego szlachcica przypomniały mi owo dziwne życzenie z ust stryja niegdyś słyszane. Przyznam się, to przypomnienie nie mogło mi być miłym, w milczeniu powróciłem nazad do moich również zadumanych towarzyszków i długośmy z sobą rozmawiali o tem, co się słyszało. Chciałem ich koniecznie namówić, żeby inne pokoje do spania sobie wybrali, ale Antoni Zborowski, młodzieuiec waleczny i żywego charakteru uroił sobie, że toby niejakiś piętno na jego odwagę rzuciło, gdyby on podobne rzeczy więcej brał do serca, niżeli zasługują; postanowił przeto nie ustąpić z placu przed strachami, cokolwiek miało by go spotkać. Stefan Ostrorog mniej sposobny do awanturniczych przedsięwzięć, z początku nie

bardzo przystawał na to postanowienie, ale nareszcie i on się zgodził ze Zborowskim, żeby się nie sprzeciwiać i nie różnić od przyjaciela. W ciągu rozmowy zaczęliśmy podobne wypadki uważać z innego stanowiska, rozumować, robić wnioski i skutkiem tego wszystkiego prawie zupełnie uspokojeni rozeszliśmy się z sobą.

Wiele zatrudnień i to nagłych wymagały, żebym kilka godzin przepędził u mojego biura, pozwoleń odejść służącym, sam zaś wziąłem się do roboty, mając również w zamiarze dopilnowania, czy też w rzeczy samej da się słyszeć jaki hałas na drugim piętrze?

Zbliżał się poranek, kiedy kończyłem moje zatrudnienia i już chciałem udać się do spoczynku. Wtem posłyszałem, że ktoś spiesźnie przybliżał się do mojego pokoju, drzwi się otworzyły i postrzegłem Zborowskiego z Ostrorogiem do połowy ubranych i z wyrazem przestachu widocznie malującego się na ich wybladłych twarzach. Przełknięty zbliżyłem się i pytałem co się im przytrafiło?

— Ale oni obaj wołali razem; — uciekajmy, uciekajmy! z tych przeklętych murów, ani jednej godziny tu nie zostajmy Teofilu! rozkaż, niech załóżą nasze konie i jeżeli chcesz usłuchać przyjacielskiej rady, opuść ten zamek, gdzie mieszka przestach rozum odbierający.

Napróżno powtarzałem moje pytanie, oni mi tylko ponowionemi wykrzyknikami odpowiadali. Po niejakej chwili Zborowski uspokoiwszy się cokolwiek tak rzekł: — Nie, ani słowa o tych okropnościach, dopóki tu jestem; pozwól nam stąd wyjechać starosto! a jeżeli chcesz, chyba ci napiszemy, co się nam przytrafiło: ale radzę ci nadewszystko wyrzec się tej przekłętej posiadłości i uciekaj czemprowadz z tego domu, gdzie cię nic dobrego nie czeka.

Świadełstwo dwóch odważnych mężczyzn utwierdziło bardziej przeczucia pierwszej już we mnie zrodzone: nie chciałem i nie mogłem wstrzymywać przyjaciół na tem miejscu, gdzie bądź prawdziwe, bądź urojone strachy, działania ukrytej władzy czyli też może ludzkiej przebiegłości, mogły im zatrzeć wszelką przyjemność. Co do mnie zdawało się rzeczą nieprzystojną, ażebym ja, pan domu, miał go opuścić jakimś niepojętnym władzom, nie przekonawszy się o rzeczywistym ich bycie.

Lubo nie bez żalu, musiałem jednak pożegnać towarzyszków, co mi swoją przytomnością obiecywali wiele rozweselenia w ciągu wiejskiej samotności. Zakląłem ich tylko, żeby nikomu nie mówili, co się im widzieć lub słyszeć zdarzyło.

R O Z D Z I A Ł VIII.

Z pokoiów przeznaczonych na mieszkanie moich przyjaciół, odkrywał się piękny widok daleko w okolice rozciągający się, nadto jeszcze ich położenie obiecywało większą możność zwrócenia uwagi na część budynku, będącą miejscem tylu niepokojności. Tu więc przeniosłem się na mieszkanie, jeszcze tegoż samego poranku. Nie wątpiłem bynajmniej o prawdzie świadectw dwóch ludzi wiarygodnych, ale też przypomniałem sobie nie jeden przykład, gdzie dla własnego interesu, albo z powodu innych niegodziwych zamiarów, robiono sobie igraszki z ludzi pokazując im zmyślane mary. Zastanowiwszy się przeto głębiej, pomyślałem sobie, że tutaj być może, podobne przyczyny podobny skutek sprawiać chciały, a stara niechęć tudzież nowe spostrzeżenia kazały mieć w podejrzeniu dawniejszego marszałka dworu.

Nie przeczę jednak, iż nie dosyć byłem ufny w przytomność mojego umysłu, iżbym sam jeden w nocnej porze miał się puszczać na awantury, przed którymi znikło doświadczone męstwo moich

przyjaciół; rozkazałem więc Saint Felixowi, ażeby mi następnej nocy towarzyszył. Inni służący spali w oddalonych skrzydłach zamku i po oficynach, czemu bynajmniej nie sprzeciwiałem się, bo gdy ani po przeszłej nocy, ani też pierwszej nic niepotrzebnego do ich uszu nie doszło, starałem się nadal utrzymać tajemnicę, spowodowanym będąc przyczynami, jakich łatwo domyślić się możesz szanowny ojczel!

Dzień się skończył, ciemność pokryła góry, doliny i rzekę, siedziałem przy otwartem oknie rozmaitym marzeniom oddany; wkrótce pokazał się i nów księżyc, jego półkole zlekka oświecało okolice, małeńki wietrzyk powoli poruszał wierzchołki drzew, a nocną cichość przerywał jedynie szum rzeki opodal przez zastawę przelewającej się. Słowem, wszystko kołysało mnie w mojem zadumaniu. Tymczasem Saint Felix, jakby zapominając że był Francuzem, tudzież wbrew zwyczajnej wesołości, milcząc opatrywał broń, jaką z sobą wziąć zamierzaliśmy. Aż oto w pokoju kilkoma drzwiami od tego oddzielonym, gdzie byliśmy, lekki szmer dał się słyszeć. Dałem znak słującemu, żeby cicho siedział. Długo słuchaliśmy coraz wzrastającej wrzawy, która się potem nagle w wielki hałas zmieniła. Zauważyłem, że odgłos wyraźnie pochodził z sali, gdzie wisiał wielki obraz, wziąłem szablę i parę dwururnych pistoletów z rąk

Saint Felixa, który równie jak ja w broń się opatrzył i tak razem zbliżaliśmy się pociachu do wspomnianej sali. Ale zaledwie uszliśmy połowę drogi, dał się nam słyszeć żałosny jęk kobiety, a potem ozwał się głos mężczyzny mówiącego niby ze wzgardą i gniewem, następnie zaś rozległ się głośny śmiech szyderski.

Raz tylko w uszach moich zabrzmiał śmiech podobny, ale wrażenie wtenczas doświadczone tkwiło jeszcze w mojej pamięci. Lecz ten kto się tak śmiał, już zakończył życie! Strwożony tą myślą zatrzymałem się. Nie sposób było mnie w tej chwili z tym się spotkać, czyjej nienawiści za życia doświadczyłem, ku któremu sam czułem wstręt i odrazę i który nierozgrzeszony, nie doświadczywszy dobrodziejstw kościoła za grobem zdawał się jeszcze pałać temiż nienawistnymi namiętnościami, jakimi oddychał za życia. Powróciłem do mojego pokoju i tu musiałem tego wszystkiego doświadczyć, co mi opowiadali przyjaciele moi, po pierwszej nocy w Zawieprzycach przepędzonej. Widziałem, iż od dziko migających płomieni rumieniły się drzewa przed zamkiem rosnące. Słyszałem hałas długo trwający, a gdy ów ucichł na chwilę, zaczęła się potem kłótnia dwóch osób we włoskim języku. Jeszcze raz poznałem ów głos na zawsze dla mnie pamiętny, lubo czy był drugi

również głośny i groźny przypomnieć sobie nie mogłem, żebym go słyszał kiedy.

Pomimo nateżonej uwagi ledwo udało mi się posłyszeć imię króla Jana IIIgo, lecz o co spór się ciągnął, tego wyrozumieć nie mogłem: bo kłótnia coraz się wzmagając w ciągły hałas zamieniła się. Nakoniec rozległ się po sali okrzyk rozpaczy i dał się słyszeć szelest zakończony łoskotem takim, jak gdyby ogromny ciężar z płaskiem upadł na ziemię. Działo się to wszystko na chwilę pierwszej, nim kogut powitał szarzejący poranek.

Sen również mnie odbiegł jak Ostroroga i Zborowskiego. Cały poranek, dopóki wszyscy w zamku nie byli na nogach, rozmawiałem z moim Saint Feliem, którego doświadczone dla mnie przywiązanie, zdrowy rozsądek i poznanie świata, wyższym czyniły nad innych ludzi równego z nim stanu. Wtenczas on oświadczył, że nigdy mnie jednego w tych zaklętych pokojach nie zostawi, lecz owszem sam towarzyszyć będzie, ile razy zrobię postanowienie wejścia do nich nocną porą. Twierdził bowiem, iż gdy on tym sposobem jedynie spełni prawdziwy swój obowiązek, wówczas żaden duch nic mu złego zrobić nie odważy się. Lecz gdy częścią dla ośmielenia jego, częścią też z własnych wyobrażeń dotąd jeszcze przezemnie utrzymywanych, odezwałem się, że to wszystko być może kuglarstwem i że nieobecny pan marsza-

łek dworu sprawcą tych dziejów być musi, Saint Felix przyjął ten pomysł z całym zapałem nienawiści, jaką tchnął ku starcowi; możnaby powiedzieć nawet, że przez wzgląd na mnie, mocniej go nienawidził, niż ja sam, jak to podobnych uczuć częste przykłady spostrzedz można na wier-nych służących. Odgrażał się, że złowi swego łotra i zedrze mu maskę upiora, dlatego też nalegał, ażebyśmy jeszcze następną noc w bliskości tajemniczej sali przepędzili. Uskuteczniłem ten zamiar i jeszcze dwa razy byłem świadkiem tego wszystkiego, co waszej wielbności powiedziałem ale rozważywszy rzecz całą nie ośmieliłem się wejść do sali podczas nocnego hałasu. Jeżeli to wszystko, myślałem sobie, jest dziełem ludzkiego oszukaństwa, spodziewać się należy, albo nawet, z pewnością powiedzieć można, że chytrość obronną ręką zamiary swoje przywieść do skutku przedsięwzięła; jeżeli zaś nadludzka władza tu działa jak może świecki, nieochroniony potężną tarczą świętości kościelnych, wchodzić w zapasy z władzą tamtego świata? Postanowiłem się więc opatrzyć tak świecką jako też i duchowną bronią, a wtedy dopiero pójść walczyć z przeciwnymi duchami. Jeżeli zaś chcesz wiedzieć, czemu nie użyłem pomocy ojca wikaryusza w niniejszem przedsięwzięciu, chciej przypomnieć rozmowę u stołu z nim mianą, o której pierwiej już mówiłem.

Lecz gdy wieści o nieszczęściu tego zamku powoli coraz głośniejszemi się stają, czego sobie wcale nie życzę, po długiem namysleniu się zwróciłem mój wybór na ciebie szanowny kanoniku! w nadziei, że ze mną i Saint Felixem zechcesz odwiedzić straszną salę następującej nocy, kiedy tymczasem najzaufańsi ludzie, z Ukrainy ze mną przybyli, znajdować się będą na straży, żeby nas ochronić od wszelkich zasadzek, a panów duchów żywym ciałem odzianych, schwytać i od dalszych nieproszonych nawiedzin odzwyczaić. Twoja sława jest dla mnie rękojmią, iż w każdym razie znajdę w tobie szanowny ojciec prawdziwego pomocnika i doradcę. Bo jeżeli tak jest, jak ja myślę i spodziewam się, że te wszystkie nocne strachy są dziełem marszałka dworu, tym sposobem starającego się odziedziczyć dobra stryja mojego, gdy mu te inną drogą dostać się nie mogły; wówczas znajomość naturalnego czarnoksięstwa powszechnie ci przypisywana; potrafi łatwo rozróżnić prawdę od kłamstwa, moi zaś hajducy dokonają reszty. Lecz jeżeli niebo, z powodu ukrytych przestępstw, ten dom za miejsce kary obrało, wtedy twoja kapłańska godność i świątobliwe życie będą dla nas tarczą przeciw zażartości piekielnej. Nie małej rzeczy wymagam od ciebie łaskawy przyjacielu! ale mam nadzieję, iż nie zechcesz opuścić znakomitej rodziny tobie powierzającej się,

kiedy najnędniejszej owieczce z twojej pasterskiej trzody, tak duchownej jakoteż i doczesnej pomocy nie zwykłeś nigdy odmawiać. Tak przynajmniej powszechnie wspominają o tobie szanowny Stefanie Odonie!

Zastanowiwszy się nieco, w te słowa odpowiedział panu Teofilowi:

— To, czego po mnie wymagasz jaśnie wielmożny starosto, zaiste rzeczą małej wagi nazywać nie mogę, i owszem, powierzenie się jego pochlebne dla siebie nazywam, jeżeli z ważności rzeczy mam wnosić o mierze zaufania i *estymacyi*, jaką mnie zaszczytasz. Żeby więc nie zmniejszyć w twoich oczach dobrego mniemania, na jakie w sąsiedztwie przez moją troskliwość zasłużyłem, nie uchylam mojej pomocy w niniejszej potrzebie, lecz postanawiam ją wypełnić wedle sił moich.

Podziękowanie młodego starosty było żywe i radosne, zdawał się mieć nadzieję, że za moją pomocą, prędko i na zawsze pozbędzie się udręczeń tyle mu dokuczających. Po czem oświadczył, że tejże samej nocy życzy rozpocząć nasze działania. Lecz na to przedsięwzięcie odpowiedziałem jemu temi słowy:

— Jaśnie wielmożny pan wskazałeś sam w swoim opowiadaniu, że obecne wypadki dwie różne przyczyny zrzędzać mogą, to jest:

— Że albo z duchami *ex purgatorio*, czy też może z piekła do nas przybywającymi spotkać się mamy, albo powtóre, że te widma są dziełem sztuki. W pierwszym razie powinienbym opatrzyć się w świętości, jakich nie mam z sobą, tudzież przygotować się w zupełnie innym rodzaju, niżeli teraz przy wyśmienitym stole i dobrem winie. W drugim zaś przypadku, jakkolwiek dosyć jestem biegły *in magia naturali* ażeby *fantomata laternae magicae* odróżnić od tego, co one naśladują: gdy przecież ta umiejętność uczy nas, że dla spełnienia podobnych dziwów, trzeba wiele pomocy, jakoto: podwójnych ścian, sztucznych drzwi i t. d.; lepiej więc będzie, jeżeli zawczasu zwiedzimy ową zakłątą salę i przyległe do niej pokoje, ażali za dnia śladów sztuki nie dostrzeżemy? Dzisiaj, ponieważ już się noc przybliża, nie będziemy w stanie zachować potrzebnych ostrożności.

Przepędźmy więc raczej dwa lub trzy dni na takich przygotowaniach, żebyśmy doskonale uzbroili się duchownym i doczesnym orężem; a wtenczas dopiero śmiało będziemy wejść mogli w szranki czy to przeciw ludzkiej złości, czy też przeciwko wściekłościom nieprzyjaciela ludzi.

Kiedy pan starosta zgodził się na to, naznaczono mi pokój sypialny na pierwszym piętrze nie daleko od jego mieszkania, gdzie przepędziłem

noc jak należało, sposobiąc się do ważnych przedsięwzięć; ale zresztą spokojnie i bez żadnych przeszkód.

Przez dwa dni następujące staraliśmy się przygotować to wszystko, co tylko do naszego zamiaru potrzebnem być mogło. Zwiedziliśmy pilnie salę, opatrzyli podłogę, zakątki i kryjówki; ale te wszystkie śledzenia nic zgoła ważnego nam nie odkryły. Pamiętam tylko, że trzeciego dnia po południu przyszła kamerdynerowi pana Teofila, myśl że za owym nieraz wspominanym obrazem znajduje się próżna przestrzeń, w którą i ludzie zakradać się mogą; usiłował przeto zdjąć obraz z miejsca.

A gdy mu się to nie udało, rzucił wé francuskim języku pospolicie używane przekleństwo; a w tej samej chwili ostry ćwiek, w złożonych ramach obrazu ukryty i dotąd przez nikogo nie spostrzeżony, zranił mu rękę tak, że krew rzeźście płynąć zaczęła, a on z bólu i przestachu musiał zaniechać swojego badania.

Tymczasem i my ukończywszy nasze bezskuteczne szperania, oczekiwaliśmy zbliżenia się nocy, w której pod opieką Boga i świętych patronów mieliśmy zamysł skutecznić; stąd też i rozmowa nasza była poważna i pobożna. Wtedy dopiero tak jak i przez cały ciąg pobytu mojego w Zawieprzycach, miałem sposobność bliżej poznać pana

Teofila, jego przymioty i naukę, zaszczyt szlachetnie urodzonemu przynoszące; wtenczas pokochałem jego tem sercem, jakie zachowałem aż do błogosławionej śmierci jego, a nawet i na czas dalszy, dopóki sam powiek moich nie zamknę na wieki wieków.

Wszystko było w gotowości, ubrałem się w kapłańskie odzienie, trzymałem w ręku знамя Zbawiciela, z jednej strony siedł przy mnie pan starosta, z drugiej jego służący, obadwaj porządnie uzbrojeni. Ukraińcy zaś pierwej już byli rozstawieni po korytarzach i przy drzwiach pokojów przyległych, żeby nikomu obcemu nie dozwolić przystępu. Zegar zamkowy uderzył jedenastą godzinę i zaraz rozpoczęła się, wrzawa. Wtenczas otworzyłem drzwi, a podniósłszy krzyż do góry w imię Boga wszedłem do sali. Ale nie, to, cośmy spostrzegli, nie było kuglarstwem lub dziwem czarnoksiężskiej latarni, było to wcale co innego. Czy mogę teraz, zgrzybiały starzec, po dwudziestokilkoletnim przeciągu czasu i z nadwątloną pamięcią, doskonale wyobrazić czytelnikowi to zdumiewające zjawisko, jakie wówczas stanęło przed oczyma naszymi?

Sala była oświecona krwawo purpurowym blaskiem, tak właśnie jakby, od zorzy wieczornej rzuconym. Światło to jednak nie wpadało przez okno galeryjne, ale pochodziło od obrazu na mu-

rze przybitego. Obraz zdawał się być pokrytym jakąś mgłą lekko kołyszącą się. Głównych figur nie widać było na nim, lecz pozostało tylko wyobrażenie samego zamku, niedokończonego jeszcze na jednym skrzydle i dwóch dozorców teraz jakby żyjących, gdyż wysunęli głowy z za ram obrazu chcąc przypatrzeć się temu, co się działo. A dopiero przed nimi i przed ramami spostrzegliśmy postaci tych, których na obrazie nie było, to jest pana zamku, klęczącą dziewicę i młodzieńca w tureckim ubiorze z długimi włosami.

Podniosłem głos i w imię Najwyższego i mojej kapłańskiej godności zaklinałem duchów, a-żeby się precz oddalili z zamku na miejsce zwyczajnego ich pobytu. Ale jakkolwiek głośno, bo nawet z całej siły mówić chciałem, stało się, że powietrze w sali będące jakby wysawszy moc głosu, wyraźną mowę zamieniło w szmer niezrozumiały.

Kiedy to zauważyłem a raczej kiedy spostrzegłem że mara Kasztelana wyraźnie zadrżała na widok krzyża świętego i ze wstrętem w inną stronę obróciła się, a przeciwnie młodzieniec i dziewczyna z upragnieniem wzrok ku niemu zwrócili: poznałem oczywiście, że to, co się tu działo, działo się nie tylko z dopuszczenia Stwórcy, ale owszem z wszechmocnych jego wyroków. Poddałem się więc woli Bożej, lecz przejęty duchem pobożności

w tejże chwili postanowiłem pozostać na czas dalszy w tym domu dla doświadczenia, czy też nie uda mi się błądzące duchy na drogę wiecznego pokoju sprowadzić. Pan Teofil był tuż przy mnie; o czemuż go lepiej nie było! Ale tak widać sądzono, że tu ma po raz pierwszy usłyszeć wyrok, mocą którego najpiękniejsze kwiatki żywota miały mu być odebrane i занiesione na ofiarę za grzechy, jakich on w swej osobie nigdy się nie dopuścił.

Ani nasze wejście, ani słowa przezemnie wymówione nie przerwały sceny w nocy, z postanowienia jak widać pana Zastępów ponawiającej się. Naprzód ozwało się widmo Jana Nepomucena; głos jego był taki sam jak i za życia, tylko jeszcze bardziej straszny i bardziej przerażający, wyrzucał on niewierność klęczącej dziewicy, nazywał ją zdrajczynią, iż przedsięwzięła uciekać z siedziska prawego jej pana za jakimś niewolnikiem, groził śmiercią temu z kim weszła w związki; kogo przeniosła nad szczęście co ją czekało, jeśli by je tylko z kim innym dzielić chciała. Wówczas dziewica podniosła złożone ręce i takim głosem jak miły szmer zachodniego wietrzyka, igrającego po niwach zbożem zasianych, w te słowa przemówiła:

— Człowiecze kamiennego serca! Czy możesz zarzucać potomkowi byzantyńskich cesarzów, iż

stara się uwolnić z pod niesprawiedliwej władzy siebie i ukochaną oblubienicę? Miałażbym myśleć, że wierność nieznana jest cnotą na polskiej ziemi, jeżeli śmiesz wymagać, ażeby dziewica porzuciwszy tego z kim rodzice księżęta zaręczyli ją na ojczystej ziemi, miała teraz komu innemu oddać serce i rękę! Czy to nie dosyć, że w hańbiącej niewoli trzymasz tych, kogo prawa narodów i jedna wiara bronić ci kazały? A oręż zwyciężkiego króla, na toż był podniesiony, aby się miał zstąpić na karkach chrześcijan? O zlituj się nad szlachetnym młodzieńcem! on tobie jest równym i z urodzenia i ze chrztu świętego, krew Zbawiciela również za niego jak za ciebie wylaną została niechże ta krew nie pada na potępienie twoje, niech cię bardziej nie ugniata w godzinę ucisku twojego.

Twarz kasztelana zdawała się z upodobaniem spoglądać na proszącą, ale to upodobań podobne było raczej do piekielnego tryumfu, niż do uczucia politowania. Tu się odezwał młodzieniec, a głos jego chociaż dosyć zrozumiały, brzmiał jak szmer strumyka wązkim łożyskiem płynącego.

Poco się uniżasz, przed nim, mówił on; kiedy on litować się nie umie! Czy nie wiesz, że on tysiące podobnych sobie stworzeń, chociaż niewiernych wprawdzie, jednak boskie wyobrażenie na sobie noszących, nie w polu bitwy, ale na nikczemnych

męczeńskich katuszach życia pozbawił! A jeszcze jakby pyszniąc się ze swoich zbrodni, usypywał im wieczne pomniki, wznosząc owe mogiły obłoków sięgające. Czy możesz więc teraz roić sobie, iż on oszczędzi krwi tej ofiary, której śmierć jedy-nem jest pragnieniem dzikiej duszy jego. Powstań Teofaniol! niech nie widzę córki Paleologów ście-rającej pył u nóg niewolnika grzechu, zostaw mnie mojemu losowi, jestem mężczyzną i umrzeć po-trafię.

Wściekłość piekielna zaiskrzyła się w oczach *straszego*, a śmiech gorzki skrzywił mu usta. Dobrze powiedziano, zawołał on głuchym głosem i z ową pozorną oziębłością rozjuszenie wskazu-jącą. Już nad mogiłami niewiernych dwie góry usypano, a ty będziesz węgielnym kamieniem trze-ciej, która jeszcze się wyżej wzniesie nad inne.

Tu postać młodzieńca coraz w słabszych ko-lorach widzieć się dawała i znikła nareszcie w purpurowym blasku obrazu *Straszny* odwrócił się do dziewicy, głowę w łonie swoim ukrywa-jącej i wyciągnął rękę, jakby ją chciał objąć, ale ona usunęła się wołając:

Precz odemnie morderco, ty nigdy z twojej zbrodni korzystać nie będziesz i wolę raczej pójść na łono śmierci, niżeli z tobą być szczęśliwą.

Straszny zaś tak powiedział:

— Idźże gdzie chcesz i ciesz się szczęściem jakie cię czeka przy trupie twojego zuchwalca.

Ledwo wyrzekł te słowa, znikła z obrazu postać dziewicy, a *straszny* zostawszy sam jeden, zdawał się być przejętym najokropniejszą zgryzołą, drżał i usiłował w tył się usunąć na zwyczajne swoje miejsce między ramami obrazu, czego jednakże dokazać nie mógł. Wtém nagle pokazało się przy nim nowe widmo jakiegoś człowieka wysokiej postaci, okrytego płaszczem *taboro* po policie w Lombardyi nazywanym. Saint Feliks, ów lekkomyślny Francuz, biorąc to wszystko za kuglarstwo, uroił sobie, że widzi przed sobą *Marszałka dworu* i chciał go schwytąć, wtenczas nieznajomy odsłoniwszy płaszcz dał nam spostrzedz wybladłą trupa głowę. Saint Feliks w tył odskoczył i zawołał przytłumionym głosem:

— Dla Boga! to Signor Andrea. Pocze m znowu rozpoczęła się scena duchów przed obrazem.

Mara wyobrażająca pana Zawieprzyc, wyjęła coś na kształt worka i podawała go nowo przybyłemu, mówiąc:

— Twój obraz mistrzu włoski wybornie jest odmalowany, ale nie bardzo pochlebnie wystawiłeś mnie na nim, masz za to odpowiednią zapłatę, bo jaka praca, taka i nagroda. Ów jednak

człowiek wysoki rzucił worek pod nogi dającego mówiąc:

— Weź sobie nazad twój podarunek, nie dla takiej ja zapłaty pracowałem; jedno twoje spojrzenie bolesne dostatecznie mnie nagradza, ono bowiem budzi uspione twoje sumienie, i ty drżysz jako grzesznik przejęty bojaźnią sprawiedliwej kary. Nie dlatego malowałem obraz, żeby przestępcę zuchwale i bezwstydnie ze swoich zbrodni się chlępił i na widok całego świata miał je wystawiać, lecz że w tem hańba i kara cię czeka. Wiedz bowiem, że jestem bratem owej dziewicy przez ciebie zamordowanej i że przybyłem tu jedynie, żebyś mi zdał sprawę z twoich postępków. jeżeli zaś będziesz się wzbraniał od tego pospieszę przed tron króla Jana błagać o sprawiedliwość.

— Brat? — zawołał z szyderskim uśmiechem on duch piekielny, — kiedy tak, spieszże się połączyć z ukochaną siostrą i z jej narzeczoną, winszuję, że razem z sobą w zgodzie i pokoju przetrwać możecie aż do skończenia świata. Widmo groźnego szepnęło kilka słów do mary wyobrażającej jednego z dwóch dozorców, który do byłego marszałka dworu wielkie miał podobieństwo.

Taż mara słuchając rozkazu pana wysunęła się daleko z za ram obrazu, żeby schwytać i

pociągając za sobą nieznanego. Lecz on stojąc nieporuszony wyrzekł:

— Tego się spodziewać trzeba było po nikczemnym zbrodniarzu i tej kryjówce, gdzie i samowolność swobodnie broi, dopełń więc miarki grzechów, żebyś zupełnie zasłużył na to, co cię czeka, ale nie sądz, że ujdiesz bezkarnie. O! nie! jak ty wytępiłeś do szczytu plemię świetnego domu, jedyne przedmiotu nadziei i zaufania, tak też i twój ród będzie wytępiony na ziemi, imię twoje na wieki zapomniane zostanie, i jeżeli Niebo usłucha głosu krwi niewinnie przelanej o zemstę wołającej, ty sam będziesz świadkiem upadku twojego domu!

Widmo wyrzekłszy te słowa znikło bez żadnego śladu przed oczyma naszymi, *Straszny* pozostał jeszcze chwilę, ale zdawał się być dręczony boleściami piekielnymi. Nareszcie i on zniknął; przed obrazem już nie było widać żadnej ludzkiej postaci. A wkrótce potem i sam obraz, wijąc się, kręcąc, jak dym wiatrem unoszony, wysunął się z sali. Posłyszeliśmy jeszcze krzyk rozpaczny i groźny łoskot. Lecz wkrótce wszystko ucichło, zajaśniały dopiero w pokoju zapalone gromnice, któreśmy z sobą przynieśli. Mgła, co była przed obrazem, rozpierzchła się i znowu wszystkie jego rysy spostrzedz się nam dały.

ROZDZIAŁ IX.

Strapieni na duszy i znużeni na ciele powróciliśmy do pokojów pana Zawieprzyc. Był on niemy i błądy, jak owi mieszkańcy grobu dopiero przez nas widziani, rzucił się na łożo i wpadł w tak głębokie zamyślenie, że go i przestrogi i pocieszenia moje rozerwać nie zdołały. Tymczasem jego pokojowiec również jak pan poruszony, zawieszał nazad na zwyczajne miejsca broń, którąśmy z sobą przynieśli i której użycie przeciwko takim nieprzyjaciołom nieużytecznem się pokazało. Nie prędko podniósł się pan Teofil i z ciężkiem westchnieniem ocierając pot grubemi kroplami po czoło jego spadający, zapytał słabym głosem sł użącego:

— Saint Felix! czyje ty imię wymówiłeś w sali, czy ty znałeś nieznajomego, co swoją trupią głowę do ciebie odwrócił?

— Przez świętego Dyonizyusza — odpowiedział Francuz, — ja myślałem, że to ów siwogłowy złoczyńca i chciałem zaraz porządnie go pięścią przywitać, ale przebóg, był to ktoś inny, niegdyś tyleż mi znajomy, ile znam Jaśnie Wielmożnego Pa-

na. Przed wielu bowiem laty, kiedy jeszcze byłem młodym chłopakiem, wstąpiłem w służbę jakie goś malarza, nazywał się on Andrea di Pella i opowiadał, że miasto Florencya jest jego ojczyzną. Chociaż wychwalano bardzo jego pędzel, zdawało mi się jednak, że obrazy jego były nieco ponure, i przerażające, lubo z drugiej strony porównywanego go za to z innym sławnym malarzem Salwatorem Roza. Mógł on w Paryżu wiele zbierać pieniędzy, ale żył samotnie i prawie skąpo dla siebie, dla mnie jednak na niczem nigdy nie zbywało. Kiedy go raz zachęcałem, żeby się starał rozweselać jak inni jego współtowarzysze:

— O! nie, Saint Feliks — odpowiedział mi z wyraźnym smutkiem — ja nie mogę tracić pieniędzy, muszę być oszczędnym: mam bowiem wielką drogę przed sobą i święty obowiązek do spełnienia. W samej rzeczy wkrótce potem opuściliśmy Paryż i przywędrowaliśmy aż do Warszawy na dwór zmarłego Króla. Tu mój pan mniej niż w Paryżu domu pilnował, lecz owszem najwięcej czasu spędzał na publicznych przechadzkach. Jeżeli zaś był u siebie, pracował zawsze jak najpilniej, gdyż niemało miał zatrudnienia i sowicie za nie był wynagradzany. Postrzegałem jednak, że przez ten czas był bardziej niespokojny niż za zwyczaj i że wszystkie dążenia jego ku jednemu jakiemuś przedmiotowi skierowane były. Wielokroć słyszałem,

iż w nocy sam z sobą rozmawiał, lecz nie po włosku tylko innym, zupełnie dla mnie obcym językiem, nieraz też całował miniaturę na gołych piersiach noszoną, i tej raz mi tylko udało się przypatrzeć, kiedy mu od niej łańcuszek się zerwał. Było na niej wyobrażenie mężczyzny szlachetnej postawy, a przy nim pięknej kobiety, obojga w zagranicznym książęcym ubiorze; tuż przy nich odmalowane było dwoje dzieci, chłopczyk i dziewczynka.

Po jakimś czasie zaczęła się szerzyć pogłoska, że imię mojego pana było przybrane, i że on wcale nie jest Włochem, ale Grekiem znakomitego urodzenia, którego familija doświadczyła wielkich nieszczęść. Brakło dowodów, żeby z pewnością coś w tym względzie powiedzieć można było, to jednak rzecz niewątpliwa, że kupcy greccy do Warszawy z winem lub też innemi towarami wschodniami przybywający, z największym dla niego byli uszanowaniem, tudzież dopomagali mu w czem mogli i jak tylko mogli.

Przypominam, sobie iż dnia jednego byłem raz z moim panem, kiedy pomiędzy zgromadzonymi kupcami zaczęła się rozmowa o sławnej obronie Wiednia i o chwalebnych czynach króla Jana IIIgo, mówiono i o tem, jak wielką nieprzyjacielem ponieśli stratę w ludziach poległych na placu bitwy i w jeńcach wojennych. Jakiś kupiec, zażarty widzieć nieprzyjaciół ciemieżycielów jego ojczyzny,

powiadał, że darował król kasztelanowi Lubelskiemu dwa tysiące jeńców muzułmańskich, i że kasztelan wybudował ich rękoma ogromny zamek, lecz że przez ten czas tak porządnie z nimi się obchodził, iż z łaski jego większa połowa darowanych pohańców zeszła z tego świata. Grecy w tem zgromadzeniu będący pochwalali postępek kasztelana, ale mój pan z największą bacnością przysłuchujący się całej rozmowie, zdawał się podzielać mniemanie obecnego tu Polaka, wyraźnie oświadczającego, iż takie postępowanie nie jest chrześcijańskie, lecz barbarzyńskie, i że król i stany Rzeczypospolitej również potępiły wspomniane okrucieństwo, król bowiem wypowiedział kasztelanowi Granowskiemu długoletnią łaskę, a Stany w czasie sejmu ostremu dawali napominania. Spostrzegłem, iż w ciągu rozmowy malarz Andrea widocznie począł być niespokojnym, tak, iż kolory twarzy nieraz się zmieniały, pytał się nareszcie tego samego Polaka jaki był sposób myślenia kasztelana? Odpowiedziano mu na to, że chociaż ostatni postępek nie bardzo łaskawie sądzić o nim pozwala, dotąd jednak miano go za walecznego wojownika i za człowieka, który w niczem nie uchybił przeciw obowiązкови stanu swojego.

Ktoby mógł powiedzieć, iż tych tylko słów mój pan oczekiwał, zaraz bowiem ukończył rozmowę i jak najspieszniej powrócił do swego mie-

szkania. Następującej nocy głośniej jeszcze i z większym zapałem rozmawiał sam z sobą, a kiedy ranek nadszedł, kazał mi wszystko przygotować do odjazdu. — Potem znowu niepewny zamiarów, posyłał mnie po pisarza i poruczał jemu napisanie prośby go Króla i senatu, to znowu tęż samą prośbę niedokończoną zostawiał. Taka niepewność i niestałość w przedsięwzięciach trwała jeszcze przez dni kilka, dopóki nie odebrał jakiegoś listu. Zaledwie go przeczytał, wściekłość i dzika radość zdawały się zawładnąć całą jego istotą. Stał przez czas długi w milczeniu pogrążony, a potem wznosząc oczy ku Niebu wyrzekł poważnie :

— Boże sprawiedliwy! Ty mi wskazujesz drogę, jaką mi iść należy, kiedy z woli Twojej sam przestępca ściąga zemstę na swoją niegodziwą głowę.

W tej samej chwili przywołał mnie i powiedział, że natychmiast wyjeżdżamy, jakoż w godzinę później już byliśmy za Warszawą, spieszyliśmy, jak się pokazało, nad brzegi Wieprza, a celem naszej podróży był zamek twojego stryja, łaskawy panie! przeto też nieraz wspominałem, że Zawieprzycy pierwiej mnie, niż panu były znajome.

Francuz swoją powieścią szczególnież zajął naszą uwagę i podniecił ciekawość do wysokiego stopnia, a odpocząwszy chwilę, z rozkazu pana starosty i wskutek prośb moich tak dalej mówił:

— W Zawieprzycach byliśmy przyjęci z wielką grzecznością i wystawą, można jednak było łatwo domyślać się, że pan malarz Andrea di Pella mało w tem wszystkim miał upodobania, gdyż był smutniejszy niż dotąd, a kiedy po pierwszej rozmowie z panem zamku powrócił do swego, pokoju, boleść i wściekłość jawnie na jego twarzy były wyrażone; długo chodził wzdłuż i w poprzek ze ściśnionemi zębami i uśmiechał się zjadliwie, następnie kazał mi rozpiąć wielkie płótno i przygotować farby do historycznego obrazu. — Oh! w samej rzeczy do bardzo historycznego! Ostatnie słowa wymówił tak piorunującym głosem, że z przestachu nie wiedziałem jak spełnić dany mi rozkaz.

Domyślacie się panowie zapewne, że obraz przez Adrea di Pella malowany, jest to ten sam, co po dziś dzień wisi w małej sali. Nieboszczyk kasztelan sam był obecny, kiedy jego wizerunek przenoszono na płótno, ale to nie trwało więcej nad kilka posiedzeń, gdyż mój pan, zupełnie swojej pracy oddany, na krok jej nie odstępował, a następnie unikał nawet spotkania się z kasztelanem; — najczęściej samotny, nie tylko nie przyjmował zaprosin na huczne bankiety, co noc pyszne gmachy hałasem napełniające, ale nawet odsyłał przesyłane sobie potrawy, pod pozorem ślubu surowej wstrzemięźliwości, — tymczasem zaś żywił się

samemi tylko prostemi pokarmami, jakie mu pokryjomu przynosiłem. Nie podobало się panu kasztelanowi to postępowanie dziwaka, tak on bowiem malarza Andrea nazywał i kazał mieć go na baczeniu. Stąd też *marszałek dworu*, Marcin Sliwek, to pod tym, to pod owym pozorem przychodził przypatrywać się obrazowi, doglądając razem jak też wiele w robocie postąpiono.

Któregoś wieczora za nadejściem zmroku di Pella poszedł użyć świeżego powietrza nad brzegiem rzeki, a ja tymczasem w pobliskim pokoju porządkowałem nasze ruchomości. W tem wszedł Sliwek po cichu i ze szpiegującym wzrokiem, a nie spostrzegłszy mnie, cicho przybliżył się do koziółków podtrzymujących obraz prawie już zupełnie wymalowany i przypatrywał się niemu z wielką łepilnością. Właśnie została teraz dokończona figura jego samego wyobrażająca, tudzież postaci dwóch innych osób nigdy przezemnie niewidzianych, a które przecież tej nocy nadspodziewanie zobaczyłem, — Na widok własnego obrazu uśmiechnął się pan Marcin złośliwie ale, gdy spostrzegł dwie wspomniane figury, odszedł w tył na kilka kroków z założonemi rękoma i pogrążony w zadumaniu przemówił sam do siebie półgłosem: — jak to być może, że ani rysu nie chybiono, co za czart wodził pędzlem przekłętego malarza, iż odmalował osoby nigdy przezeń niewidziane. O! strzeż

się panie włocho! ja tu coś złego wietrzę dla ciebie. — Jaśnie wielmożny kasztelan dziś jeszcze dowie się o tem, bo być nie może, żeby to podobieństwo było dziełem ślepego trafu — Ale cóż na to powie ten starzec. — Ha, mniejsza o to, niech się wścieka i piorunuje, bylebym i jego i malarza i innych niepotrzebnych czempredzej się pozbył.

Reszty co mówił nie mogłem zrozumieć, sądziłem jednak, że i tak aż nadto wiele dowiedziałem się; przystąpiłem do niego i zapytałem czegoby żądał. Spojrzał na mnie z pode łba i groźnie odpowiedział: chciałem zobaczyć czy owa paćkanina prędko będzie dokończona, a razem przestrzedz twojego majstra, mój rokoszny chłop-tasie, niechaj pospiesza, żeby się też zamek mógł już pozbyć tak niezgodnego z sobą gościa.

— W krótkim czasie obraz został zupełnie dokończony i di Pella kazał, żebym go odsłonił, zaniósł do małej sali i powiesił na tem miejscu gdzie się i teraz znajduje; odchodząc dostrzegłem, że mój pan wziął pałasz pod swoją *tabarro* i parę pistoletów za pas zasadził. Kiedy zaś obraz był już na miejsce zawieszony, di Pella zdjął zasłonę i stanął przed malowidłem, potok łez zlał wybladłe jego policzki, czego dotąd nigdy mi się widzieć nie zdarzyło, a on w te słowa przemówił:

— O! drogie dla mnie istoty! ręka więc brata

waszego znowu do życia was przywołała, budząc z łona wiecznego spoczynku! Bodajby przynajmniej wasz widok poruszył skamieniałe serce grzesznika, tak, iżby lico zbrodni wydało zbrodniarza i dopomogło w krwawej zemście, kiedy w rycerskim pojedynku pod sąd Boży poddamy się. — Zadmiony poglądałem na tego, co teraz sam siebie panem nie był; lecz gdy tymczasem ciężki i poważny chód zapowiedział zbliżenie się ksztelana, di Pella prędko znowu zarzucił na obraz zasłonę, a mnie dał znak, żebym się oddalił.

Minęło południe, nadszedł i wieczór; a jeszcze mój pan nie powracał, zasmucony i coś złego przeczuwający siedziałem w jego pokoju z oczyma we drzwi wlepionemi. Nareszcie drzwi się otworzyły, poskoczyłem powitać przedmiot tylu moich trosk. Ale zamiast mojego pana spostrzegłem marszałka Marcina Sliwka, był on blady i pomieszany, głos mu drżał, i kiedy zaczął mówić, można było poznać, że groźnym tonem chciał sobie samemu męstwa dodawać.

— Tak się zawsze dzieje, — mówił Sliwek, — z tymi, co się wdają z zagranicznymi włóczęgami, nie ma już twojego majstra, i radzę ci ustąpić natychmiast precz z zamku, jeżeli nie masz ochoty przepędzić z dziesiątek lat w wilgotnem więzieniu na Zawieprzycach. Nadaremnie chciałem go uprosić, żeby mi odkrył to, czego pojąć nie mogłem:

napróżno przedstawiałem, iż wierzyć temu nie podobna, żeby Andrea di Pella, ów najpoczciewszy człowiek, miał się teraz dopuścić jakiegokolwiek przestępstwa, bezskutecznie wyjawilem podejrzenia co raz we mnie wzrastające, bo na to wszystko żadnej mi nie dano odpowiedzi, tylko powtórzono rozkaz, ażebym natychmiast opuścił zamek i ziemię pana Granowskiego, gdyż, jeżeli za godzinę będę jeszcze w granicach jego posiadłości, wówczas kasztelan lubelski da mi uczuć jaką ma władzę na własnej ziemi.

Cudzoziemiec, pozbawiony wszelkiej opieki i Pomocy, cóż mogłem począć przeciw możnemu panu? i jeżeli to się stało, czegom się obawiał, czy mogłem spodziewać się, ażeby ten, co powstał na szlachetną głowę pana, miał teraz oszczędzać nikczemnego słuźalca, a nie nakazał mu raczej wiecznego milczenia w więzieniu lub też w grobie?

Choć późna noc już była, pospieszyłem jednak do wioski Kijan, nie należącej do posiadłości Granowskiego. Tu przepędziłem dni kilka oczekując jakichkolwiek wiadomości o moim panu, ale na próżno, nic mi się posłyszeć nie udało. Na skargi i narzekania moje ledwo kto w dowód politowania raczył ścisnąć ramionami, inni ozięble mnie słuchali, wszyscy zaś radzili jednozgodnie, ażebym daleko unosił się z tych okolic, gdzie mi

nikt przytułku dać nie może przed przemocą strasznego magnata.

Takim sposobem powróciłem do Warszawy, i tu moi ziomkowie, będący na usługę królowej Maryi Kazimiery, zlitowawszy się nademną, przedstawili mnie ojcu teraźniejszego mojego pana; wkrótce zaś potem prosto na usługi pańskie zostałem przeznaczony.

— Kończąc moje opowiadanie, muszę jeszcze wspomnieć następującą okoliczność, iż kiedy Jaśnie Wielmożny Pan zostałeś dziedzicem pana kasztelana przez śmierć dwóch jego synów a pańskich stryjecznych braci, i kiedy powracając z Padwy zajechałeś zemną do Zawieprzyc; Marcin Sliwek poznał mnie natychmiast, tak iż sądziłem, że to wskutek jego doniesień, a z mojego powodu doświadczyłeś pan od stryja tak niełaskawego przyjęcia. Dodam i to, iż owa wysoka mara, której widok lodem ściał krew w żyłach moich, był to właśnie Andrea di Pella, ten sam mój pan nieszczęśliwy a malarz zaklętego obrazu. Opuść panie, zawołał nakoniec Saint Feliks z głębokiem uczuciem, — opuść ten straszny zamek, niechaj przekleństwo ciążące nad nim nie spada na twoją głowę.

— Ach! czyliż tego nieszczęścia odwrócić nie można, — zawołał Teofil Granowski załamując ręce, a potem obróciwszy się do mnie z rozdzierającą serce boleścią dodał:

— Módlmy się mój ojcie, błagajmy Najwyższego, żeby przekleństwo spadłe na moją rodzinę nie dosięgło niewinnych, a życzenie strasznego, które teraz czuję w całej sile, żeby się nie spełniło na dziedzicu jego hańby.

— Daj to Boże, amen,—odpowiedziałem, — niech się spełnią życzenia twoje mój synu, którego w strapieniu duszy moim Benjaminem nazwać mogę. — Resztę nocy przepędziliśmy zasyłając pokorne modły do tego, co za grzechy ojców trzecie i czwarte karze pokolenia.

ROZDZIAŁ X.

Pobyty w Zawieprzycach stał się nam wszystkim nieznośny, ale szczególnie pan starosta Urzędowski potrzebował zmiany mieszkania, gdyż i tak nie zbyt silna budowa ciała jego sprawiała częste paroksyzmy mocnych przypadłości. Zaraz więc nazajutrz przeniósł się on do innego pobliskiego folwarku, gdzie miał zameczek myśliwski, a tymczasem w Zawieprzycach mianował nowego marszałka dworu doświadczonej wierności, tyle go tylko robiąc uczestnikiem tajemnic, ile tego konieczna wymagała potrzeba. Przyczem rozkazał jemu pozostającą w Zawieprzycach dworską czeladź trzymać w oddaleniu od tej części zamku, gdzie się hałas nocny odbywał, tudzież najmocniej zalecił nieprzełamane milczenie o tem wszystkim, co mu powierzone zostało, lub o czem następnie będzie się mógł dowiedzieć.

Ponieważ duchowna pomoc dla wstrząśnionego umysłu młodego pana Granowskiego nieodbitcie potrzebną się stała i gdy we mnie szczególnie położył swoje zaufanie w tem wszystkim, o czem

nie chciałby zapewne, żeby obcy cokolwiek wiedzieli, musiałem przeto zjechać do Firlejów i tam sprawowanie służby Bożej poruczyć Wikaryuszowi, sam zaś powróciłem do ukochanego Granoviusa.

Podczas krótkiej niebytności mojej umocnił się pan Teofil w postanowieniu, żeby z gruntu tego dośledzić, co jeszcze przed nami było ukryte, a następnie poprawić złe, co się stało, o ile możnaby tego dokazać oddając pod sąd ludzkiej sprawiedliwości uczestników domierzonych zbrodni, a przez to samo zapobiedz i zemście Nieba.

W tym celu często rankami zwiedzaliśmy zamek Zawieprzycki, gdzie, jak nam nowy marszałek dworu pod sekretem donosił: nocne wrzawy niezmiennie w zwyczajnej porze słyszeć się dawały. — Tu szukaliśmy po rozmaitych składach i skrzyniach, między papierami i inną ruchomością śladów, przeszłe wypadki wykryć mogących. — Żeby zaś zapobiedz niepotrzebnym pogłoskom i tak już szerzyć się poczynającym, pan Teofil pospolicie spraszał na obiady do Zawieprzyc liczne towarzystwa, gdzie w przytomności sąsiadów domowe *odiosa* również i uciski serca swojego maską wesołości pokrywał, zawsze tak postępując jak przystawało znakomitemu i dobrze wychowanemu szlachcicowi. Nadto ponieważ dla przyozdobienia nowej rezydencji pana Zawieprzyc, częścią z Włoch, częścią z dóbr jego ukraińskich sprowadzono tutaj wiele

kosztownych sprzętów, pan Teofil kazał nie ruszać ich z miejsca, udając tym sposobem, że ciągle w Zawieprzycach mieszkać zamysła i że przeniósł się do zamku myśliwskiego jedynie tylko dla polowania, którego teraz właśnie pora była najlepsza.

Poszukiwania jednak nasze względem przeszłych wypadków pokazały się bezkutecznemi, gdyż dostrzedz można było, że jeżeli jakie listy lub papiery mogłyby jakąkolwiek w pożądanym celu dać nam wiadomość, te z widocznym pośpiechem gwałtownie poodrywane i ukryte zostały. — Niniejsza okoliczność zwróciła uwagę pana Teofila na domysły przezoruego i doświadczonego kamerdynera, iż w naładowanych wozach Marcina Sliwka, oprócz skradzionego złota i srebra ważne autentyczne pisma uwieszone zostały. Domysł tak tem mniej można było odrzucić, iż wpływ Sliwka na zaszłe wypadki, nietylko w oczach naszych był widocznym, ale też i niezaprzeczone świadectwa umacniały zdanie nasze w tym względzie. Cała więc sztuka zależała na tem, żeby starego lisa zręcznie mu łapkę nastawiwszy zwabić go do zamku, gdy we własnym jego domu trudno było dokazać czegokolwiek z pożądanym skutkiem.

Jedna tylko namiętność pozostała jeszcze w napół już umarłym grzeszniku a tą był pociąg do pijaństwa. Co wiedząc pan starosta poruczył no-

wemu marszałkowi dworu jakąkolwiek ponętą win przyciągnąć do siebie Sliwka, nie szczędząc mu najlepszych zapasów; ale nie łatwo było podejść ostrożnego starca, chwalił się on, że przez wspa-
niałomyślność zmarłego Kasztelana porządną ma własną, piwnicę tak, iż niema potrzeby ro-
bić parę set kroków po to, co we wła-
snym domu znaleźć może. Zapewne i do końca
nie wyszedłby ze swojej kryjówki, gdyby nowy
marszałek dworu nie wpadł na myśl udawania, iż
z wielu względów jest do niego podobnym. A prze-
to spotkawszy się z panem Marcinem, zaczął mu
szeroko rozprawiać o stoletnim węgrzynie i o wy-
bornych greckich winach pana starosty, dodając,
że pan Teofil dla siebie je tylko chowa, a nikogo
nie częstuje: lecz że można na przekor chciwo-
ści i podejrzeniom dobrać się pokryjomo do be-
czułki i drwić sobie z pana, spijając wino bez je-
go łaski i wiedzy. Ponieważ podobnym ludziom le-
piej smakuje chleb kradziony, niżeli własny mar-
cypan, tudzież, że chęć korzystania z cudzej wła-
sności w zakorzeniały nałóg zamieniona silnie dzia-
ła na umysł złośliwy, Sliwek nie mógł oprzeć się
powabowi takich zaprosin. Lecz zaledwie dał przy-
rzeczenie, że o zmroku przybędzie do marszałka
dworu, a już jeden posłaniec pośpieszył szybko do
zameczka myśliwskiego, drugi zaś do Lublina tak,
że kiedy właśnie starzec w stanie zupełnego pi-
jaństwa był przyaiesiony do więzienia zamkowego

w tej samej porze pan Franciszek Chomieniecki instygator*) i pan Ludwik Podhorodyski, urzędnik szlachecki w sąsiedztwie posiadłość swoją mający przybyli do jego domu, zabrali wszelkie rękopisma i sprzęty kosztowniejsze, pozostałej zaś ruchomości sporządziwszy inwentarz i zabezpieczawszy drzwi domu pieczęcią sądową, z zabranymi rzeczami przybyli do Zawieprzyc.

Pan starosta polegając na dobrej sławie i uczciwości pomienionych dwóch panów, pierwiej jeszcze odkrył przed nimi to wszystko, co im wiedzieć należało. Stąd kiedyśmy przed obiadem przybyli do Zawieprzyc, znaleźliśmy już wszystko w gotowości. Wielki pokój w środku budynku był obrany za sędownią, a drzwi przyległej małej sali, tyle razy już wspominianej na wścياż dozwalały widzieć cały obraz, wiszący właśnie naprzeciw tego miejsca, gdzie obżałowany miał być stawionym. Na stole sądowym uporządkowano potrzebne *insygnia* Temidy, pod pokryciem zaś znajdowały się rzeczy z domu Marcina Sliwka przywiezione.

Zaledwie usiedliśmy w sędziowskim kole, w którym pan starosta zajął miejsce najniższe, dla mnie zaś postawiono nieco z boku krzesło, a Saint

*) Urząd Instygatora sprawowała zazwyczaj możniejsza szlachta prawoznawstwu szczególnie poświęcająca się. Obowiązki zaś takich urzędników porównać można do dzisiejszych fiskalów.

Feliks stanął na przedzie, jako świadek, jeśliby w czem jego zeznania potrzebne były. Przy prowadzono zaraz obżałowanego w towarzystwie kilku wieśniaków byłych kiedyś na usługach dworskiej. Postać jego była odrażająca, ślady rozpusty, a następnie za otrzewieniem się przestrasz i bojaźń tego, co go czekać mogło, zmieniły do tego stopnia i tak już brzydką twarz jego, że niepodobna było bez wstrętu nań patrzeć. Wszedł jednak śmiało, spoglądając zuchwale i nienawistnie na całe zgromadzenie.

Naprzód przemówił do niego pan instygator, że na to sprowadzono go tutaj, żeby odpowiedział na niektóre pytania; ale on wzbraniał się od tego mówiąc, iż aż nadto wie dobrze, że prawa Rzeczypospolitej bronią więzić kogokolwiek, póki mu przestępstwo dowiedzione nie będzie, i z tego powodu nie widzi potrzeby dawać odpowiedzi, zwłaszcza, że sposób, jakim tu był wciągnięty, nie jest prawy i zasadzką zwać się może. Na ten wykręt odpowiedział pan sędzia, że wzmiankowane prawo do niego się nie ściąga, gdyż on jest poddany *et glebae adscriptus*, prawo zaś owo służy tylko osiadłej szlachcie. Odpowiedział na to Marcin Sliwek, że wszedłszy w posiadłość wolnego majątku przestał być poddanym i że ze szlachtą teraz się równa; ale i ten dowód zbił pan sędzia robiąc uwagę, że nie jako właściciela ziemi pochwyceno i sprowadzono go tutaj, ale jako służą-

cego, który przez długi czas zawiadując bogatym dworem, oddalił się nie zdawszy rachunku ze swojej służby, co teraz koniecznie spełnić powinien gdyż przeciwko niemu ważne powstały zarzuty. Na to znowu odpowiedział Sliwek, iż jeżeli dla tego tylko jest uwięzionym, mogą mu pozwolić powrotu do domu, gdzie gotów jest dać tłumaczenie o tem wszystkim, czego potrzebować będą. Pan sędzia mówił dalej, iż terażniejszy dziedzic Zawieprzyc nie znajdując wiele rzeczy w inwentarzu pomieszczonych, potrzebuje od niego wiadomości gdzie się one podziały, gdyż jemu właśnie dozór nad skarbcem był powierzony. Na co *inculpatus* z największą obojętnością rzekł znowu, że ile mu wiadomo, Jaśnie Wiemożny starosta z woli zmarłego pana został dziedzicem samych tylko nieruchomych majątków, i że wolno było zmarłemu rozrzadzić się ruchomością według własnego upodobania; przeto nie będzie tańż tego, co ma w domu, owszem wszystko sam pokaże i stosownie do woli sędziów dowiedzie, że co ma, pranie posiada. Na co pan stolnik Podhorodyski żywo odpowiedział:

— Nie masz potrzeby, żebyśmy szli do twojego domu patrzeć twoich bogactw, oto bowiem już są tutaj: to mówiąc z rzucił na bok zasłone zakrywającą rzeczy z domu Sliwka zabrane i tak dalej pytał dawniejszych służących zamku: owe złote i srebrne naczynia przy tej tualetce i przy

tej drugiej skrzynce napiętnowanej herbami familijnymi, tudzież przy tym stosie papierów złożone, powiedzcie, czyją są własnością? Świadkowie przyznali, iż te rzeczy należą do pana Zawieprzyc.

Na widok swoich ruchomości dawniejszy marszałek dworu stanął jak osłupiały; ale wzrok jego nie był zwrócony na zabrane bogactwa i sprzęty, lecz utkwiał raczej w stosie papierów. Straszna bladość twarz jego pokryła, a usta drgać mu poczęły. Trwało to jednak tylko przez chwilę, bo chociaż z trudnością, potrafił jednak wrócić do przytomności i zdobywszy się na zwyczajne sobie zuchwalstwo zawołał:

— Któż to odważył się napaść dom wolnego Polaka i jego własność pochwycić?

— My, — była odpowiedź stolnika, — my w imieniu Jego Królewskiej Mości sądu grodzkiego ubelskiego, tudzież w skutek wyraźnego zalecenia Jaśnie Wielmożnego pana wojewody — po czem dodał:

— Ponieważ zaszło wielkie podejrzenie, że owe sprzęty nieprawnie są w twojem posiadaniu, przeto Marcinie Sliwku zapowiadamy tobie, że musisz pozostać pod strażą, dopóki nie złożysz dowodów, że te bogactwa rzeczywiście twoją są własnością.

— Bierzcie sobie te rupiecie tam do czartu, za-

wołał Sliwek, nie masz nad nimi błogosławieństwa Bożego, a teraz puszczajcie mnie, rzecz bowiem pomiędzy nami już skończona.

— Nie zupełnie, odpowiedział stolnik zwolna ale dobitnie;—pomiędzy znalezionemi rzeczami znajdują się dokumenta i inne rękopisma cenniejsze częstokroć znakomitemu rodowi, aniżeli nie jedna garść srebra lub złota; z tego powodu, sąd nie może puścić cię na wolność, dopóki nie poweźmie wiadomości, co to są za papiery i jaki miałeś zamiar w ich przywłaszczeniu?

Wówczas marszałek dworu zawołał strasznym głosem do pana starosty, cicho i w głębokim smutku dotąd siedzącego:

— Strzeż się panie Granowski, strzeż się, ażeby owi ludzie nie dotknęli się rękopism, bo biada tobie i domowi twojemu, jeżeli się o ich treści dowiedzą.

Mój łaskawca przyjaciel słabym lecz równym głosem tak odpowiedział:

— Uchowaj mnie Boże, ażebym jedynie przez próżność miał tamować bieg sprawiedliwości, a tem samem żebym się robił uczestnikiem przestępstw i tej kary, jaką z przerażeniem na moje własne oczy widziałem. To wyrzekłszy podniósł się z krzesła ze spuszczonei oczyma, oddał ukłon sędziom w błagającej postaci i usiadł znowu.

Zrozumiano czego żądał, kazano świadkom

ustąpić pozwalając pozostać jednemu tylko Saint Feliksowi.

Ostatnia odpowiedź pana starosty zdawała się poruszać wnętrzości siwogłowego złoczyńcy, widocznie głos się mu zmienił i wszyscy obecni zauważali, że od czasu do czasu ze wstrętem zazierał do przyległej sali, a jeszcze jednak nie zaraz przystąpił do czynienia zeznań, trzeba go było do żywego poruszyć: dopiero bowiem gdy pan Teofil wziął ze stołu plik papierów i wręczył go panu instygatorowi dla przejrzenia, Sliwek raptownie zawołał:

— Tego więc chcesz panie Granowski, przypiszże sobie, jeśli to się stanie, czego nie chcesz ale pamiętaj, żebyś z czasem nie żałował! Nie! nie! niechaj ciebie raczej dotknie zgryzota swoim padalczym zębem i niech cię aż za grobem ściga, nienawistny! Wymawiając ostatnie słowa Sliwek obrócił się do obrazu ze ściśnionemi pięściami, jakby wściekłością poruszony, i mówił dalej: groźże mi teraz stary zapaleńcze! spoglądaj twojemi iskrzącemi się oczyma, wkrótce i ja przyjdę zająć miejsce w ramach twojego obrazu: tymczasem patrz co ci własne twoje plemię gotuje, chociaż w głupiej pysze przeniosłeś je nad jedyne, co do ciebie na tym świecie był przywiązany! Przyjąłeś jaje kukułki do swojego gniazda

i oto w nagrodę nawet za grobem czeka cię hańba: wnet bowiem, skoro spadnie zasłona tajemnicy i obnaży prawdę, pokaże się, że ten wsławiony wspólnik zwycięstw pod Wiedniem jest podłym zbójcą i rabusiem. Czekaj! czekaj! zaraz i ja z tobą połączę się, a wtedy razem nocne tańce odbywać będziemy!

Jeszczeby i dłużej bluźnił, ale Saint Feliks porwał go silnie i odprowadził na miejsce, gdzie go pierwaj postawiono. Po dobrym odpoczynku, kiedy i przestępca upamiętał się i sędziowie ochłonęli z przerażenia, przystąpiono do inkwizycy odtąd już zwyczajnym porządkiem i bez szczególniejszych wypadków do końca doprowadzonej. Otóż właśnie z treści zeznań Marcina Sliwka, tudzież z treści rękopismów w domu jego zabranych, ja Stefan Odonicz same najgłówniejsze rzeczy mając na względzie, następującą relacją osnowałem, ażeby podług woli zeszłego w Bogu *fratris Peregrini* mógł ją podać dla pożytku i nauki wnuków i prawnuków naszych.

Ponieważ pleban firlejski słowa Marcina Sliwka na własny styl przekształcił, zatem i wydawca powieści pozwolił sobie użyć podobnej wolności, szczególnie w tem, iż powtarza toczącą się rozmowę pomiędzy osobami na scenę wyprowadzo-

nemi, tudzież, że odświeżył podług nowego gustu podstarzałe nieco wyrażenia przezacnego plebana: lękał się albowiem, że sposób ówczesnego składania zdań upstrzonych gęsto łacińskimi słowami mogłyby być niezrozumiałemi dla tegoczesnych czytelników.

ROZDZIAŁ XI

Kiedy Jan IIIci Sobieski na wezwanie uciśnionego chrześcijaństwa i prośby swojego niegdyś współzawodnika do polskiej korony, cesarza Leopolda I szego i księcia Lotaryngii wyruszył spiesznym marszem na odsiecz silnie oblężonego Wiednia, wówczas Jan Nepomucen Granowski, kasztelan Lubelski i chorąży koronny mąż doświadczonej już roztropności i męstwa w wielu bitwach odbytych na Podolu, dostał pod swoje dowództwo kilka hufców lekkiej jazdy. Ze szlachty, pospolitem ruszeniem do broni powołanej, stanowiącej najświetniejsze i najwaleczniejsze wojsko Rzeczypospolitej, ledwie tylko kilka chorągwi było podwładnych Kasztelanowi, większą bowiem część hufców jego składał zbiór Tatarów i Kozaków Zaporoskich, źle zbrojnych i źle odzianych. Stał też król przeglądając wojsko pocieszał pomienione hufce żołdowników, że w obozie nieprzyjaciół każdy żołnierz będzie mógł opatrzyć się w potrzebny wojenny rynsztunek; a skutek przedsięwziętej wyprawy dowiódł, iż z danego im pozwolenia aż

nadto korzystać mogli. Przyznać należy, iż surowego trzeba było naczelnika, żeby swawolną tłuszcę w karbach posłuszeństwa utrzymać; właśnie takim okazał się Kasztelan: kilką bowiem strasznych przykładów przyprowadziwszy żołnierstwo do należytej karności, zamienił je na najlepszą lekką jazdę jak to jednogłośnie przyznała ówczesna Europa a czemu i w późniejszych czasach zaprzeczyć nie było można.

Zająć się szczegółami owych na wieki pamiętnych czynów, dokonanych pod wałami cesarskiego miasta, byłoby to wychodzić z obrębów teraźniejszej powieści: chociaż zresztą może i będzie kiedyś przedstawione czytelnikom dokładniejsze opisanie tego wypadku, o ile ono w romansie uskutecznione być może, a wtedy zrównoważą się jednostronne podania, które z czasem przekształciły istotę rzeczy.

Tymczasem dosyć jest powiedzieć, że kiedy król Jan wspólnie z Janem Grzegorzem IIIcim walecznym elektorem saskim, tudzież z książętami Bawaryi i Lotaryngii przełamywał szyki nieprzyjacielskie, jazda Kasztelana Lubelskiego po trudnej przeprawie przecisnęła się do obozu Muzułmanów i wyciąwszy w pień tylną straż, oddała się rabunkom stosownie do pozwolenia króla, a nareszcie obóz ich w znacznej części spaliła. Turcy nie wporę obudzeni z nierozsądnego bezpieczeństwa

z obu stron mocno nacierani przez Niemców . Polaków, kiedy się wieść rozeszła, że święta chora . rągiem Ottomańskiego państwa już jest w ręku Chrześcijan, a nadto gdy spostrzegli swój obóz w płomieniach ; wtedy zamieszanie stało się powszechne w ich sztykach i skończyło się, jak to rzecz wiadoma, na haniebnej ucieczce.

Nie można przeto ująć sławy Janowi Nepomucenowi Granowskiemu, że on w znacznej części miał wpływ na ten dzień pamiętny, w którym los cesarstwa austriackiego na długie lata zabezpieczony został. Ale i Granowski sowitą miał za to nagrodę: oprócz tego bowiem, że sam o sobie w czasie rabunku nie zapomniął, jeszcze król opanowawszy dnia następnego bogaty namiot wielkiego Wezyra, pozwolił Granowskiemu z pomiędzy jeńców tureckich wybrać dla siebie dwa tysiące obojej płci ludzi, i uważać ich jako własnych poddanych, dopóki za głowę każdego nie będzie dana mu zapłata przy mającym nastąpić okupie jeńców. Był to podarunek godzić króla, ale przytem dodać należy: króla tamtych czasów.

Skutki zwycięstwa wezwały sprzymierzone wojska do Węgier, a tymczasem Kasztelan działając ze zwyczajnem sobie pospiechem, kazał darowanych mu jeńców okować po czterech razem, żeby ich tem bezpieczniej przesłać nad brzegi Wieprza pod straż szlachty z pospolitego ruszenia

wracającej do domu, gdy wyprawa, pod której hasłem powołani byli do broni, szczęśliwie ukończoną została.

W tym samym dniu, kiedy smutna karawana miała się już puścić w drogę, wszedł do obozu Kasztelana znajomy nam Marcin Sliwek, wtenczas jeszcze jego koniuszy, ale posiadający już od lat wielu pańskie zaufanie, pozyskane usługami rozmaitego rodzaju. Przybrał on tym razem wyraz twarzy w pewnych tylko okolicznościach właściwy i rzekł:

— Jedna z niewolnic Tureckich chce przyjść do pana i uścisnąć jego stopy; czy wolno będzie wpuścić ją tutaj?

Kasztelan tylko co powrócił ze stolicy, gdzie był na uczcie danej po odbytem nabożeństwie w kościele świętego Stefana: a pyszny z odebranych pochwał od całego wojska, tudzież ze względów króleskich, zdawał się teraz być łagodniejszym niż kiedykolwiek.

— Czegoż ona chce? — pytał Sliwka.

— Zapewne będzie płakać i prosić o cokolwiek, — odpowiedziano.

Po niejakej chwili rzekł znowu Kasztelan:

— Marcinku, ty coś figlarnie spoglądasz, powiedz śmiało co to za kobieta?

— Jest to jedna z dziewic, odpowiedział koniuszy, zabranych w obozie Wezyra Kara Musta-

fy, mógłbym nawet dodać, że ^{jakas} jakaś niepospolita branka, jeżeli mam wnosić z jej odzienia i jej kosztownych klejnotów na szyi i rękach.

— I ty jeszcze jej nie obdarłeś, pytał Granowski uśmiechając się, w rzeczy samej nie spodziewałem się znaleźć tyle pomiarkowania w moich służących i u innych moich rycerzy.

— Panie! wierni służący wiedzą, jaka część łupu ich rozkazodawcy należy się, odpowiedział Marcin z niskim ukłonem.

— Zapewne, to należy do pana co jest najlepszego, czy można to samo powiedzieć i o tej niewolnicy?

— To Jaśnie Wielmożny Pan sam najlepiej osądzi, jeśli raczy nie odmówić jej przystępu do siebie.

Z jednego skinienia głowy domyślny służący poznał wolę pana, a wkrótce potem jakaś kobieta zasłoniąca weszła do namiotu Granowskiego, lecz nie padła na kolana jak się tego kasztelan spodziewał, ani też złożyła rąk na piersiach, owszem skromnie i swobodnie przybliżyła się do niego i tak przemówiła w języku francuskim.

Chwała ci Wszechmocny Boże, coś mnie z rąk moich nieprzyjaciół wyratował i dajesz przytułek u braci jedną ze mną wiarę wyznawających.

— Więc ty nie jesteś Turczynką, pytał kasztelan, jeśli tak jest, wolno ci twoją twarz odsło-

nić, chciałbym poznać moje piękną brankę.

— Niewolno wprowadzie i greckim dziewicom pokazywać się bez zasłony przed oczyma obcych osób, ale ciebie panie obcym nazwać nie mogę, widząc w tobie mojego wybawcę z hańbiącej niewoli. To mówiąc dziewczica usunęła z twarzy zasłonę i rzuciła na pana Lubelskiego spojrzenie, które po wrzawie bitwy i niewygodach wojennych podwójną miało siłę, a następnie zbliżając do ust różowych podaną sobie rękę Kasztelana, tak dalej mówiła:

— Pozwól panie w imieniu mojem i tylu innych współbraci złożyć najszczerze dziękczynienie, żeście wspólnie z walecznym obrońcą chrześcijaństwa, podjęli miecze wasze dla oswobodzenia nas z pod uciążliwego jarzma.

— Siadaj piękno dziewico, przerwie Kasztelan z niezwykłą sobie łagodnością, siadaj i opowiedz kto jesteś i czego żadasz odemnie?

A ona z niewymuszoną skromnością przyjęła wezwanie Kasztelana.

— Jestem, mówiła, córką greckiego księcia, zwanego Isakios Darukas, pochodzącego z krwi Paleologów. — Tomasz bowiem, książę ateński, a brat ostatniego cesarza Paleologa, jest głową naszej rodziny. Jakkolwiek od półtrzecia wieku ręka Muzułmańska ciąży nad naszymi karkami, jednakże dom nasz zachował choć w części blask

przodków, a mój ojciec jest dotąd jedną z pierwszych osób swojego narodu, i dlatego już od dawna więcej niż inni książęta wzbudził przeciw sobie podejrzenie Porty. W ostatnich zaś czasach kiedy wojsko tureckie występowało w Macedonii, Achai i Morei do walki przeciwko narodowi obromionemu ramieniem waszem i sprzymierzeńców waszych, Kara Mustafa bojąc się powstania w prowincjach przez Greków po większej części zamieszkałych, potrzebował zakładników od znakomitszych Hellenów familii: przyczem miał przezorność, że od każdej wymagał tego, co dla niej było najdroższem. Mego brata wówczas nie było, zwiedzał bowiem zachodnie kraje, a stąd rodzice moi byli zmuszeni rozstać się ze mną, gdyż na miejsce brata mnie wzięto w niewolę. Wezyr był w Adryanopolu, gdyśmy do tego miasta przybyli i tu już wydał rozkaz, że wszyscy udać się mamy za wojskiem. Wiele greckich kobiet i mężczyzn dzieliło niedolę naszą, ale najznamięnitszy ze wszystkich zakładników był to Andronikos Laskaris syn znamienitego Greka i potomek dawniejszych cesarzów. On też mnie najwięcej obchodzi, bo podług zwyczaju ojczyzny naszej, jeszcze w dzieciństwie zaręczona z nim zostałam. Inni zakładnicy byli oddani pod dozór Seraskierów i Agów — tak dalej mówiła dziewczyna, nie spostrzegając, że twarz Kasztelana chmurzyć się zaczęła: —

lecz że Kara Mustafa uważał rodziców moich i młodego Laskarisa za najniebezpieczniejszych z pomiędzy Greków, przeto, żebyśmy ze szczególniejszą ostrożnością mogli być strzeżeni, musieliśmy należeć do orszaku samego Wezyra i w jego namiocie znajdowaliśmy się. Ileż udręczeń wycierpieliśmy w krótkim czasie! mnie prześladowała miłość Wezyra, a mój narzeczony cierpiał od Ulemów(*) chcących go na swoje wiare nawrócić i nieodstępnie jemu towarzyszących. Ale trzeba już zapomnieć o tem co tylko było złego; ramię braci jednę z nami wiare wyznających skruszyło nasze kajdany i odtąd pomyślniejszy los nas czeka. —

— Czy i twój narzeczony znajduje się w liczbie moich jeńców? przerwał polski hetman dwuznacznym tonem mowę Greczyki.

— Tak jest, to samo szczęście spotkało nas oboje, gdyż polegamy na twojej panie dobroci, że i jemu wolno będzie korzystać z nowej swobody.

— Widzę, że on został twoim narzeczonym nie tylko z woli rodziców, ale i przez wybór twojego serca. — Dziewica zdawała się nie spostrzegać chmury, jaka zasępiła czoło Kasztelana, kiedy czynił to zapytanie, bo żywo odpowiedziała.

— Czyż mogłoby być inaczej? on i mój brat

*) Ulema, tak się nazywają machometanci kapłani.

są to dwaj najszlachetniejsi młodzieńcy z całej Achai, w nich się jeszcze utrzymał duch naszych przodków, tylko z powieści i piosnek nam znajomych.

— Czy tak, ozięble ozwał się pan Kasztelan, może on i jeden z najprzystojniejszych? Teofania, takie bowiem było imię branki, ze spuszczonymi oczami odpowiedziała:

— Skoro go panie zobaczysz, przyznasz zapewne, że zewnętrzna postać, godna jest jego umysłu i jego rodu.

— Dotąd jeszcze śliczna pani, wyrzekł Kasztelan po niejakiem milczeniu, nie oświadczyłaś co chcesz, żebym ci uczynił.

— Jakto panie? czy tego jeszcze nie wiesz? odpowie ona z podziwieniem: czyliż mam potrzebę powtórzyć szanownemu towarzyszowi broni króla Jana, iż nie pierwej chrześcijański wasz obowiązek dokonany zostanie, aż powrócą na łono rodziny ci, co waszym orężem oswobodzeni zostali

— Jakże chcesz powracać do oddalonej ojczyzny? — przerwał pan Lubelski z pozornem zajęciem; czy możesz puszczać się w czasie wojennym przez rozległe kraje, napełnione tłumem żołnierstwa tak nieprzyjacielskiego, jako też wojsk sprzymierzonych i to jeszcze pozbawiona wszelkiej pomocy, młoda dziewczyna z młodym tylko mężczyzną, nie bratem i nie małżonkiem?

— Nie tak jest panie,—odpowiedziała Teofania z przystojną dumą,—pomiędzy więźniami znajduje się kobieta jednej ze mną wiary, co mnie od dzieciństwa wychowała i podług zwyczajów naszych towarzysząc mi wszędzie, była i w niewoli tureckiej. Jej obecność z niektórych względów będzie dostatecznem dla nas usprawiedliwieniem, a klejnoty zapewniają łatwe przybycie do Korfu, skąd pod opieką Rzeczypospolitej weneckiej damy wiedzieć rodzicom o naszym uwolnieniu i postaramy się namówić ich, ażeby zrzekłszy się posiadłości w zhańbionej i uciśnionej krainie, w inne strony przenieśli się razem z nami.

— Więc spodziewasz się, że ci pozwolę z tym młodzikiem—żywo przerwał Granowski mowę Teofanii, a potem prędko poprawiając się dodał: że ja ci pozwolę narazić się na tyle niebezpieczeństw?

— Bez wątpienia tego się spodziewam, bo cóżby mogło wstrzymać pana od spełnienia próśby naszej?

— A przecież twoja nadzieja, mówił Kasztelan, za prędko osnowaną została, chociażbym chciał nie wypada mi uwalniać jeńców bez królewskiej wiedzy, i jeszcze jeńców tak wysokiego znaczenia jak sama o sobie powiadasz.

Po niejakiem milczeniu rzekła Teofania:

— Ciągłe nam dajesz nazwisko jeńców! lecz

jeżeli tak jest, może mnie samej wolno będzie upaść do nóg króla i bohatera?

— Jego Królewska Mość, — odpowiedział Kasztelan z uśmiechem, udał się stąd do Hofmark nad rzeką Mur, gdzie sprawa całego chrześcijaństwa teraz go zatrudniająca nie dałaby mu czasu zajmować się prośbami pojedynczej osoby, choćby one pochodzić miały z ust tak powabnych jak twoje.

— Jakże więc zamyślasz los nas rozstrzygnąć, rzekła dziewczica powstając z miejsca swojego.

— Będiesz musiała zabawić niejakiś czas w Polsce, gdzie możesz spodziewać się przyjęcia odpowiedniego twojemu stanowi i twojemu urodzeniu. Wkrótce się wojna skończy, a wtenczas za moim powrotem do ojczyzny będziemy mogli pomówić więcej o twoim losie.

— A Andronikos Laskaris?

— Nie troszcz się, nic mu się złego nie stanie i jego także ujrzysz nad brzegami Wieprza.

— Nic już nie odpowiedziała Greczynka, skłoniła się tylko przystojnie i wyszła z namiotu Kasztelana, przejęta smutkiem zawiedzonej nadziei.

Zaledwie oddaliła się, natychmiast przywołano koniuszego do namiotu. Wydano mu rozkazy jak ma postępować z więźniami i wskutek tego

Teofania, z kobietą przy niej będącą, wyprawiona została na północ w wygodnym pojeździe; dozwolono jej nawet pożegnać się z narzeczoną. Liczny orszak uzbrojonych bajduków pana chorążego koronnego składał straż Greczynki, sam Marcin Sliwek jechał za jej pojazdem. Przeciwnie Andronikos pieszo musiał odbywać podróż z resztą więźniów i do tego ściśle strzeżony, lubo wprowadzenie zakuto go w kajdany i nie postępowano z nim tak okrutnie jak z innymi towarzyszami niewoli, a to zapewne w nadziei otrzymania wielkich pieniędzy przy okupie syna bogatego księcia. Uznano jednak za rzecz potrzebną przyodziać go w strój turecki dla tego, jak się zdaje, ażeby po miejscach, kędy przechodzić będą, nie uderzyła w oczy obecność jakiegoś Greka, coby zapewne jak jeniec turecki darowanym być nie mógł.

Tymczasem Jan Sobieski zostawszy zwycięzcą jeszcze w kilku potyczkach na węgierskiej ziemi, osądził, że już spełnił dane przyrzeczenie, że zdobycie kraju z tamtej strony rzeki Sawy położnego zostawić może broni sprzymierzeńców. Wojsko polskie powróciło nazad do ojczyzny spożywać bogate owoce zwycięztwa, a z niem powrócił i Jan Granowski. Król odbywszy wjazd do Krakowa, pośpieszył do Warszawy kończyć budowę wilanowskiego pałacu, którego mury, jeżeli nie tak jak w Zawieprzycach rękami Turków, to za ich złoto

i srebro tak prędko wzniesione zostały. I wten czas to właśnie kasztelan zachęcił się do wybudowania sobie pałacu nad brzegiem Wieprza.

Jan III ci nie był niewdzięcznym dla tych, co w najświetniejszym wydarzeniu pełnego chwały życia jego jakikolwiek udział mieli. Tacy dostępowali w krótkim czasie najwyższych dostojęństw w Królestwie, lub jeżeli niemi byli już zaszczyceni, rozdawano im starostwa dla powiększenia ich bogactw. Podobna nagroda czekała i Granowskiego, zwłaszcza, że nietylko w wyprawie pod Wiedeń, ale i w bitwach nad Dniestrem towarzyszył królowi, kiedy on jeszcze był tylko wielkim hetmanem. Przykre jednak obejście się zuchwałego magnata nie mogło się podobać na dworze, gdzie dwie królowe rodem z Francyi*), dzielając tron z trzema królami, zaprowadziły obyczaje dworu wersalskiego. Granowski i tak już nie mając łaskawych względów Maryi Kazimiery zniechęcił ją jeszcze gorzej ku sobie, kiedy dnia pewnego do tego stopnia zapomniał się, iż śmiał wobec królowej nader nieprzystojnie odpowiedzieć jej ojcu, kardynałowi D'Arquien i to w sporze o rzecz wcale błahą.

*) Marya Ludwika, księżniczka Nowers, żona obu królów z familii Wazów, to jest Władysława IVgo i Jana IIgo Kazimierza, druga zaś Marya Kazimiera d' Arquien, żona Jana IIIgo Sobieskiego. Ojciec Maryi Kazimiery, Margrabia d'Arquien otrzymał kardynalski kapelusz kiedy córka jego na tron wstąpiła,

Od tej chwili niechęć Dworu przeciwko niemu wyraźnie się okazywać zaczęła, czem kasztelan znudzony i syt dworskich przyjemności, prosił króla o pozwolenie wyjazdu do dóbr, a król jak wiadomo mniej umiejący oprzeć się żądaniom małżonki, niżeli nieprzyjaciołom na polu bitwy, nie tylko nie sprzeciwiał się zamiarowi kasztelana, lecz owszem oddał mu obiecane starostwo i upewnił pokryjому, że w każdej chwili gotów będzie staremu towarzyszowi broni dawać dowody nieprzerwanych względów.

Poddani Zawieprzyc i sąsiedzi pogranicznych wsi i folwarków, szumnie obchodzili przyjazd kasztelana, głośnie wiwaty grzmiały bezustannie, ale żeby ta radość z serca pochodziła, temu wierzyć nie podobna: z bojaźnią spoglądali wszyscy na groźnego rozkazodawcę, gdyż widok zasępionego jego czoła i ponure spojrzenie nie mogło ożywić ich serca pocieszającą ufnością. Znaleźli się jednak i tacy, co go pożądanie przyjmowali: była to niższa okoliczna szlachta, przygotowana zawczasu upokorzenia i wzgardę dumnego patrona połykać razem z kąskami wykwinnych jego potraw i z częstemi pułkami wybornego wina.

Z ich gronem, odtąd dwór pana Jana Nepomucena Granowskiego składać mającem, przejeżdżał on w milczeniu szeregi wasalów i zbliżał się do kupy ludzi we trzy czworokąty uszykowanych.

nych, a w koło konnymi jeźdźcami otoczonych. Zdala mógłby kto myśleć, że to były szyki wojskowe do boju gotujące się, ale zbliżywszy się poznałby, że ci mniemani rycerze nietylko są bezbronni, ale jeszcze okuci w kajdany, otaczający zaś ich jeźdźcy z dobytymi szablami, są to ich stróże. Bo i w samej rzeczy byli to jeńcy tureccy, wypędzeni z obór, gdzie ich dotąd w zamknięciu trzymano. Dla sprawienia przyjemnego widoku dumnemu tyranowi i na znak haniebnej niewoli powiązano im ręce i powkładano stryczki na szyje.

Kiedy kasztelan zbliżał się, żołnierze podnieśli szable do góry, a huczne *niech żyje* wyszło z ust nieszczęśliwych na powitanie srogiego ciemieżyciela. *Niech żyje!* a z tem życzeniem w duszy nie jednego ciężkie łączyło się przekleństwo. Granowski nagle przyskoczył i silnie targnąwszy cugłami wstrzymał spienionego pod nim rumaka, a potem zaczął przeglądać nieszczęśliwych jeńców. Z początku uśmiech zajaśniał na twarzy owego nieprzyjaciela ludzkości, pocieszonego, zdaje się, myślą, iż on był panem życia i śmierci tylu ludzi. Ale gdy niedaleko pierwszego czworokąta spostrzegł młodzieńca w ubiorze muzułmańskim, stojącego swobodnie i bez kajdan,

— Zkąd to zawołał piorunującym głosem, jakiś pohaniec stoi sam jeden bez łańcucha i stryczka? Precz z nim do reszty motłochu!

Tu zaraz przybliżył się Marcin Sliwek i powiedział coś na ucho swojemu panu. Kasztelan przyskoczył do młodzieńca, długo mu się przypatrywał, nie nie mówiąc, mierzył go tylko od stóp do głowy wzrokiem nienawiści, a płomień gniewu jeszcze więcej zaczerwienił i tak brunatną twarz jego. Po chwili ścisnął konia ostrogami, pospieszył do zamku, gdzie na jego przyjazd wybudowano dom z desek, właśnie naprzeciwko murów przyszłego pałacu teraz ledwie wznosić się poczynających.

ROZDZIAŁ XII.

Tu w obszernym pokoju miejsce bawialnej sali zastępującym, zasiadł Kasztelan we wspaniałem krześle, karmazynowym aksamitem wysłanem, i dawał posłuchanie składającym hołd uległości, poddanym, służącym i wassalom swoim, lecz za jedyną odpowiedź o pokorne mowy i oświadczenia, ledwie którego udarować raczył ponurem spojrzeniem. — Znajdowali się jednak tu i inni zamożniejsi panowie, raczej uprzejmością sąsiedzką albo też chęcią poznania nowego pana Zawieprzyc przed wojną gdzie indziej mającego mieszkanie, niżeli powinnością jakąś zwabieni na uroczystość jego przyjazdu. — Z tego powodu przygotowano dla nich około krzesła pana Jana do tronu raczej podobnego, wygodniejsze nieco siedzenie. A i sam pan Kasztelan kiedy niekiedy raczył do nich przemawiać: lecz ilekroć odezwał się, każde słowo nosiło piętno wyższości i dumy; każdy żarcik wielu razem uczuć się dawał, a małe, jak mu się zdawało przygany nadto było gorzkie, żeby je spokojnym umysłem znosić można było. Stąd też

owi panowie zrzekli się całego przepychu w zamku zaprowadzonego i postanowili, że te ich pierwsze odwiedziny będą ostatnimi, bo nie chcą znosić obelżywego humoru pana Zawieprzyc, kiedy pomimo wszystkie jego skarby, dostojęństwa i związki, sami jako zaszczyceni klejnotem szlachectwa równi są jemu w oczach Rzeczypospolitej. Pomiedzy innymi tak myślał obecny owemu obchodowi znajomy już nam Ludwik Podhorodyski, szlachcic z dalekich antenatów i pan na rozległych majątkach, chociaż nie liczący się w poczet magnatów owoczesnych.

Przystąpiono do spełniania uroczystych toastów. Pan kasztelan ze znakomitszymi gośćmi pił wino węgierskie: niższa zaś szlachta i dworscy oficjaliści, lubo głośniej od innych *wiwat* wykrzykujący, przestawać musieli na wódce z miodem przepalanej. Nareszcie kasztelan pożegnał całe zgromadzenie, krótko wprzód oświadczywszy, iż spodziewa się, że jeszcze i na obiedzie widzieć będzie panów sąsiadów. — Ale wielu z panów owych nie zważając na te nienader uprzejme zaprosiny, zaraz wyjechało z Zawieprzyc, zostawiając przyjemność obiadowania z jaśnie wielmożnym dla tych, komu apetyt był milszy, aniżeli poczucie własnej godności.

Tymczasem kasztelan pod przewodnictwem koniuszego pospieszył do przyległej budowy, któ-

rej drewniane ściany naprzód były tynkowane, a potem pokryte perskimi dywdykami wielkiej piękności i ceny. Tu w głębi pokoju przy małym stoliku, na którym paliła się srebrna lampa, pachnącym olejem napełniona, siedziała pod zasłoną jakaś kobieta; lecz skoro wszedł kasztelan, powstała i przybliżyła się ku niemu.

— Jakże się powodzi pani na mojej ojczyściej ziemi, — przemówił kasztelan, usiłując ile można złagodzić twarde rysy swojej odrażającej twarzy, — nie jestże jej tu równie dobrze jak we własnej rodzinie? Spodziewam się bowiem, że gorliwość moich służących starała się twoją niewolę i pobyt w moim domu tyle uprzyjemnić, ile tylko tego życzyć mogłem.

— A przecież najpożądaniej witam cię panie w twoich dobrach, — odpowiedziała Teofania niski ukłon oddając, — bo mam nadzieję, iż w raz z przybyciem usunięte zostaną nieprzyjemności zmniejszające dotąd powab tutejszych okolic, skąd inąd nader dla mnie przyjemnych, od czasu, jak słońce wiosenne spędziło zimowe lody.

— Co słyszę, zawołał kasztelan ze zmyślonym zapałem obracając się do Marcina Sliwka, — i ktożto uchybił winnego uszanowania dziewicy książęcego rodu? — kto śmiał odmówić wygód dla jej płci potrzebnych, a tem samem nie spełniać moich rozkazów? Czy to ty nieszczęśliwy?

— I owszem, przerwała Greczynka głośną jego mowę, z tego względu nie doświadczyłam najmniejszego uchybienia: nie o tem chcę mówić, i innej oczekuję odmiany po szczodrobliwym i wspaniałomyślnym opiekunie moim. Wiesz panie, mówiła dalej z rozczulajacem zaufaniem, iż w liczbie przybyłych jeńców z nad brzegów Dunaju, jest jeszcze jeden tegoż co ja wyznania i tyleż mający prawa do twojej łaskawości, za nim chciałam się wstawić, jeżeli prośba moja jakąkolwiek uwagę ściągnąć może, jak również i z tymi nieszczęśliwymi, którzy mało odpoczynku, za wiele pracy ponosząc, w krótkim czasie stali się żywymi obrazami nędzy. Chciej spełnić moję prośbę a wtedy wesoło i cierpliwie oczekiwać będą chwili, kiedy mi wolno będzie z twojego gościnnego domu pospieszyć na łono rodziny.

Nie dobrze tając urazę, taką kasztelan dał Teofanii odpowiedź:

— Nie sądziłem, ażeby ów młodzieniec miał być przedmiotem pierwszych słów na moje powitanie wymówionych, kiedy położenie jego skąd inąd bardzo znośnie, nie powinno byłoby więcej ciebie pani zajmować, niżeli reszta motłochu nikczemnych niedowiarków na domiar czego oświadczasz życzenie opuszczenia mojego domu, choć go sama gościnnym nazywasz.

— Miałabym wyrzec co nieprzyzwoitego, że

zdajesz się być obrażonym, powie zdziwiona Teofania: czyliż to o co proszę nie jest powinnością chrześcijanina i rycerza? a wszakże to pierwsze prawidło wyznających wiarę Chrystusa, iż powinni być łaskawymi dla błędzących i za złe nie wynagradzać. — Ganisz mię panie, że tęsknię do rodziców, lecz nie powinno cię to zadziwiać, że jestem o los ich niespokojna, gdy oni na nowe nieszczęścia mogą być narażeni, tak z powodu zwycięstw waszego króla, jak i z powodu mego wyzwolenia: nie miałabym nareszcie ufać twojemu słowu, iż wolną zostanę, zwłaszcza, że obrońca wiary nie może inaczej postąpić ze swoimi współbraćmi. — Andronikos zaś Laskaris, dodała ze wzrastającym poruszeniem, nie może być dla mnie przedmiotem zimnego politowania. — On z woli rodziców i przez wybór mojego serca na wieki został ze mną połączony i ja jestem Greczynką jak owa Eponina, co za swoim małżonkiem na wiele lat poszła w lochy podziemne. — Ty tylko panie nie jesteś owym poganinem, co ich uwięzić rozkazał. Ty jesteś chrześcijaninem, a twoja powinność święta jest dla ciebie.

— Powinność, odpowie Granowski, jest to wyraz nazbyt obszerne mający znaczenie, i jakkolwiek panienko masz wiele rozsądku i powabów, zawsze jednak jesteś zbyt młodą, żebyś maie uczyć mogła co mam przezeń rozumieć. Nie wchodzę, czy jest ja-

ka różnica między moją wiarą a waszem wyznaniem, ale jak chcesz, żebym poddanych wielkiego sułtana, znakomitych urodzeniem i bogactwami miał jemu odsyłać, nie wiedząc na co oni użyją swojej wolności. — Wszakże wielu Greków walczy pod chorągwią Mahometa.

— Ów zaś Gracyan, co opuścił Żółkiewskiego pod Cecorą, czy nie był jednego z tobą wyznania jednego, rodu?

— O! wiadomo powszechnie moja piękna pani co to jest wierność grecka.

— Więc ja mam całe życie przepłakać na północy, — wyrzekła Teofania załamując ręce, jedna daleko od rodziny i jeszcze ostatniej pozbawiona pociechy w tem, iż nie mogę widzieć towarzysza młodości i kochanka, nie mogę z nim mówić o ojczyźnie, o krewnych.

— I owszem, — odpowie kasztelan, — już między Rzeczpospolitą a Portą pokój zawarty został, wkrótce zapewne nastąpi zamiana jeńców albo ich okup, jednak przyznam, piękna Teofanio że każda cena jakkolwiek wysoka, zawsze szczupłą mi się wyda, jeżeli ma wynagrodzić nieprzyjemność rozstania się z tobą.

— Poznaję teraz, — powie Greczynka przytłumionym głosem, że i w tym kraju są Baszowie i Seraskiery — potem zaś dodała głośniejszym: — Nasi rodzice są bogaci, oświadczyć czego żądasz —

Oni wszystko oddadzą, byleby im dzieci wrócono.

— Nie rozumiesz mię pani, mam złota i skarbów aż nadto, braknie mi tylko jedyne go szczęścia, to jest miłości, lecz i tego spodziewam się od ciebie.

— Nieszczęśliwa! mogęż dać wiarę moim uszom, zawołała przelekniona Teofania, — miłości wymagasz odemnie narzeczonej innego, pozbawionej wszelkiej pomocy i pod twoją opiekę oddanej branki! — Ty panie, starzec, możny w twoim narodzie i rycerz, z tych wszystkich względów powinieś być ojcem opuszczonej, gdy ją boska ręka twojej pieczy powierzyła. Gorzko pokutuję za radość, jaką uczułam widząc znaki księżyca ulegające przed chorągwiami krzyża świętego. — Ale czy mogłam pomyśleć, że pod znamieniem zbawienia barbarzyńcy znajdują się? — Kasztelanie, pomnij, że to rzecz niegodna uczciwego człowieka, żeby nadużywał swojej władzy. Na kolanach z podniesionemi rękami do Pana Zastępów. błagałam o zwycięstwo dla waszej broni, ale czy na to, iżbym się miała przekonać ile w zachodnich krajach zniknął duch rycerski i dobre obyczaje, gdzie myślałam, jedyne tych cnót zostało siedlisko!

— Pani zanadto unosisz się gniewem na jedno oświadczenie miłości, kiedy wiele kobiet równych ci urodzeniem i w pomyślniejszym stanie będących chętnieby je usłyszeć odemnie chciały. Zapomi-

nasz nawet, że jestem twoim panem i że cię zmusić mogę do tego, o co teraz proszę.

— Dosyć już,—zawoła córka Isakiosa, — już wiem czego się mam spodziewać po człowieku, któremu Niebo na to zdaje się dało władzę, a-żeby dowiódł strasznym przykładem, ile jej nadużyć można. Tak mi bowiem wypada sądzić o tobie, kiedy zrzekłszy się szlachetnych uczuć, śmiesz wymagać miłości od serca, klóre ci nigdy wzajemne być nie może. Grozisz nikczemnie słabej kobiecie, spoglądającej dotąd na ciebie jak na swojego Anioła Stróża! — O Andronikos Laskarys! w bezlitośne wpadliśmy ręce, przeczuwam, że coś złego nas czeka.

— Być to może,—odpowie kasztelan rozdrażniony wymówieniem nienawistnego nazwiska, a jednak w mocy twojej wszelkie złe odwrócić. Pamiętaj. rzekł po chwili,—żebym cię nigdy taką nie znalazł jak dzisiaj, od tego zawisł nie tylko twój los, ale i czyjś inny jeszcze. Nazwałeś wspaniałomyślnym Jana Granowskiego, on nie zawsze jest takim, i biada wam obojgu, jeżeli na chwilę być nim przestaniesz.

— Jest Bóg opiekun uciśnionych! — zawołała dziewczyna gorzkiemi łzami zalana.

ROZDZIAŁ XIII.

Budowa nowego zamku szła pospiesznie, szerokie mury pierwszego piętra były zasklepione. w średniej zaś części dokończono już i drugie piętro. Bo jakże owo dzieło nie miałoby prędko zbliżyć się do końca, jeżeli nie miano względu na zdrowie i życie pracujących nad niem. I jeśli prędko wznosił się pałac nad poziom zamkowej góry, tuż obok prędzej jeszcze zaokrąglął się drugi pagórek, dotąd wędrownikom pod nazwiskiem grobowców tureckich pokazywany. Już wieśset ludzi wymarło, wyniszczonych ciężarem pracy, zbyteczną oszczędnością pokarmu i niegodziwego postępowania. Trupy ich zrzucano do wykopanego dołu i ziemią przysypywano, tak, iż widocznie wraz z pomnikiem dumy, okrucieństwo w innym uwieczniało się pomniku.

Napróżno smutnem okiem poglądali Turcy na swojego ciemieżyciela, żeby się przecie nad ich nędzą zlitował, jeszcze silniejsze uderzenia sypały się w jego przytomności na zranione ich grzbiety. Widział, iż bezsilni upadają pod znojem skwaru

słonecznego i przez niesłychane okrucieństwa krwią własną broczą kamienie ścian budowanego pałacu, ale nieumiejący czuć politowania, nie uważali się nad losem nieszczęśliwych!

Przez ten przeciąg czasu wielokroć ofiarował córce Daruka swoje miłość, a z nią to, co nazywał szczęściem; łązy tylko i sprawiedliwe wyrzekania niechęć księżniczki okazujące, były dla niego jedyną odpowiedzią; tem mniej bowiem mogła ukrywać swoją odrazę, im więcej przekonywała się o sposobie myślenia mniemanego opiekuna.

Wtenczas to wybuchnął kasztelan gniewem przeciwko młodzieńcowi, uważając go za jedyną przeszkodę w dojściu do pożądanego celu; zawoławszy przeto Marcina Sliwka, wydał rozkaz, ażeby Audronikowi Laskarys powoli odjęte zostały wszystkie ulgi, robione mu dotąd w nadziei bogatego okupu. Zawiść tem prędzej mogła wziąć przewagę nad chciwością, że Porta w ciągłej jeszcze wojnie z niemieckim cesarzem zostająca zadnych nie przedsiębrała środków w celu uwolnienia jeńców. — Kiedy więc Teofania oczekuje tylko godziny wyrwania się z błyszczącej niewoli i połączenia się z ukochanym; tymczasem nad jego głową ręka zemsty coraz mocniej ciążyła, ale smutna jego dola nie na długo przed nią utajoną została, bo gdy któregoś dnia Granowski wyprowadził Teofanię na ganek znajomej nam małej sali i nowy

kusiciel z upodobaniem pokazywał nieprzejrzane okiem swoje posiadłości, w tej chwili gromada jeńców niosła z rzeki około pałacu wodę potrzebną na gaszenie wapna. Dziewica chciała odwrócić oczy od widoku wybladłych i zmęczonych nędzarzy, lecz wtem niespodziewanie spostrzegła, iż jej oblubieniec również jak inni niewolnicy z wybladłą twarzą i upadający pod ciężarem, szedł chwiejącymi się krokami. Żadne narzekanie z ust jej słyszeć się nie dało, raz tylko spojrzała na kasztelana wzrokiem nienawiści.

— Cóż cię gniewa,—mówił on,—piękna Teofanio? wszakże go nie zakuto w kajdany jak innych, przecież mu nie każe windować się pod dach pałacu na wątych drabinach, nie każe go spuszczać w głębokie studnie, a nawet dotąd batogi dozorców nie tknęły książęcych ramion jego; ale pamiętaj, że z czasem to wszystko nastąpi, jeżeli dalej postępować będziesz jak dotąd. — Nagle odskoczyła dziewczina i pobiegła ukryć się w samotności, a on spoglądając na nią szydersko się uśmiechał.

Widok nędzy ukochanego wzbudził męstwo w łonie bojaźliwej dziewczicy. Tegoż jeszcze wieczora, kiedy była sam na sam ze swoją Mylis, co jej od dzieciństwa strzegła, zdarła zdobiące ją perły, klejnoty i oddała je owej staruszce. — Nazajutrz widziano, iż Mylis więcej udzielająca

się niż dotąd, włóczyła się pomiędzy dworskimi, narzekała na swoją wychowankę, iż upornie odrzuca łaski znakomitego Pana i oświadczała że z duszy życzy przemiany jej wyobrażeń z tego względu. — Przez kilka dni musiała powtarzać tę samą piosnkę, aż nareszcie zaczęły się pomiędzy niemi zaufańsze rozmowy, i tydzień nie upłynął, a już jeden ze służalców skąpego ciemieżyciela, został przekupiony bogatemi darami, tak, iż jednej z następnych nocy, kiedy i księżyc i gwiazdy pokryte były grubemi chmurami, a Jan Granowski wyjechał na ucztę do sąsiedztwa, dwaj mężczyźni płaszczami osłonięci przesunęli się przez głęboki parów po lewej stronie zamku, między ogrodem a zwierzyńcem ciągnący się i udali się do samotnego i cienistego ustronia, gdzie dwie kobiety w ciemnem ubraniu oczekiwały na nich. Jeden z dwóch mężczyzn i jedna kobieta zeszli się z sobą, dwoje zaś innych pojedynczo stało po bokach. Długie uściśnienie nastąpiło przy pierwszym widzeniu się oddzielonych przestępną samowolnością, a łzy dziewicze skropiły policzki jeńca. Słaby promyk światelka gdzieś z okna zamku padający, oświecił twarz jego i dziewica z przełknięciem zawołała :

Dla Boga, Andronikos! jaki ty blady i wynędzniały, toż cię tyle nieszczęścia przyciska, gdy tymczasem ja w dostatkach opływam. —

— O tak to jest, dzięki wspaniałemu wybawicielowi.—odpowiedziano gorzkim żartem;—mnie się zdaje, Że on umie rozdzielać swoje dary i zna owo przysłowie wschodnich krajów, że chudemu koniowi można dawać i słomę.

— Ale ty mię tu wezwałaś Teofanio! — mówił dalej żywo wzruszony młodzieniec,—ledwie po kilku miesiącach czasu przypominasz przecie tego, komu wykonałaś przysięgę wierności, pobłogosławioną przez twoich rodziców. — Czego chcesz teraz ode mnie? jesteście zawsze moją wierną Teofanią? powiedz, że tak jest, a pospieszę napowrót cierpliwie znosić moję nędzę.

Dziewica żywszem jeszcze wzruszeniem uniesiona, tak odpowiedziała :

— Nie truj ostatka słodczy i tak nader smutnych chwil pierwszego widzenia się naszego. Jazbym miała cię zapomnieć Andronikos? — Ciebie, przyjaciela i kochanka, przedmiot słodkich marzeń, iż w szlachetnym potomku cesarzów wschodu ujrzę wybawiciela Grecyi. — I dla kogoż miałabym ciebie poświęcić? czy dla tego, z pod czyich siwych włosów błyska płomień dzikiej i nienawistnej namiętności, który zimnem okrucieństwem szydząc z praw i uczuć ludzkich we własnym nawet narodzie niszczy wolność, ów piękny dar nieba od tylu wieków naszej ojczyźnie nieznanym, kiedy żelazną nogą ugniata karki w spółziomków

z tej tej tylko przyczyny, iż oni trafem losu w niższym od niego urodzili się stanie, — przekonaj się, — mówiła dalej kładąc rękę na gorącym czole młodzieńca — i wierz, że to jest ta sama Teofania, niegdyś towarzyszka dziecinnych twoich i-graszek, następnie zaś twoja narzeczona.

— Jeżeli mnie nie uwodzisz, — odpowie młody Laskarys całując głaszczącą go rękę, chętnie zniosę wszystkie ciężary nie nieprzywykłe do nich barki zwalone, zajęty pracą najlichszego posługacza i jak niewolnik, spokojnie, z zupełną ufnością w w tobie, oczekiwać będę dnia wybawienia naszego.

— Nie, Andronikos Laskarys. Ty nie możesz, ty nie powinienes dłużej cierpieć, — zawołała Teofania z zapalem: nie przystoi ci być tak haniebnie poniżanym, ani też oczekiwać w bezczynności jutrzeńki, co nigdy nie zajaśnieje, jeśli się ty o to starać nie będziesz.

Długo jeszcze rozmawiali z sobą kochankowie, póki głos trąbki nie zapowiedział powrotu pana Zawieprzyc.

Coraz bliższa końca była budowa zamku. Coraz wyżej wznosił się drugi wzgórek, mogiłuik Ottomanów. Codziennie ponawiał kasztelan nienawistne oświadczenia. Co noc dziewica znajdowała pociechę w towarzystwie narzeczonego. Ale złośliwe przeznaczenie sprowadziło kiedyś Marcina Sliwka, niedawno marszałkiem dworu mianowanego,

w głąb zwierzyńca właśnie do ustronia, gdzie kochankowie widywali się. Przy blasku zdradliwego księżyca postrzegł ich, a ukrywszy się za krzakami, następując posłyszał rozmowę :

— „Czas już przystąpić do działania, — mówiła Teofania, codziennie bowiem wzrasta natarczywość kasztelana i już w gościnnym domu rycerza zachodnich krajów, obili się o moje uszy wyrazy jakie myślałam, że chyba tylko w haremie turecki satrapa wymówić może ; i twoje nieszczęścia mój Androniku, coraz cię bardziej ugniatają, w hańbie na lichej usługach nikną twoje siły, wyższe przeznaczenie mające. Patrz, jak ci wybladły i zwiedły policzki, znikła rumianość i blask młodości co je zdobiły na górach Achai. Twoje oczy słabo spozierają, a głos nie brzmi tak silnie, jak kiedy radośnie wykrzykując biegłeś powitać narzeczoną w gronie wesołych i kwiatami uwieńczonych jej towarzyszek.

— Zapewne, że już uadszedł czas, zawołał Grek ponurym głosem, — że trzeba rozpocząć działanie : dosyć już znosiłem zabójcze ciosy obecnego położenia, dzieląc przeznaczenie z najnieszczęśliwszym lecz razem z najszlachetniejszym ludem Grecyi, co jest skazany znosić jarzmo niewoli i widzieć zawiedzioną nadzieję przez tych, w kim całą ufność jak w zbawcach pokładał. Ale dajcie mi na chwilę miecz w tę prawicę,

wnet przestępna władza ukróconą zostanie, dowiodę, iż godzien jestem przodków, których głos jak głos Boży rozlegał się po krajach Europy i Azyi: bo biada i wieczne przekleństwo temu, co przestając na wspomnieniach przeszłej świetności i szczęścia nie zdoła osłabłem ramieniem wydzwignąć z niedoli najmilszych w świecie przedmiotów.

— Nie przestraszaj mnie—mówiła dziewczyna, i nie mów tak głośno, tu i drzewa zdrajcami być mogą, a każdy listek zdaje się nadstawia ucho szpiegujące. Wysłuchaj mnie raczj Andronikos i miej lepsze nadzieje, nie tylko twój teraźniejszy przewodnik, ale też wielu innych sług dworskich już są zupełnie nam oddani, kilka dni jeszcze a drzwi okrutnika tsanę nam otworem, pospieszymy spólnie do stolicy, gdzie król Jan nie odepchnie od podnóżka tronu wołających o sprawiedliwość.

— I ty jemu chcesz zaufać,—gorzko zawołał Andronikos, czy on nie jest mieszkańcem zachodu i szlachcicem tego Królestwa, a tem samem podobny do innych towarzyszków broni? O! oni szydzą z greckiej wierności, kiedy tymczasem fałszywość nigdy ich ust nie opuszcza, tak jak i wtedy, kiedy podali tył jednemu z twoich pradziadów Konstantynowi czternastemu.

— Nie uwłaczaj sławie bohatera teraźniejszego wieku, błagając powie Teofania, nieszczęścia zasępiły wszystko przed oczyma twojemi. Ty na-

wet nie dostrzegasz nadziei po długim smutku narzeczcie dla nas jaśnieć poczynającej. Nie wszyscy mieszkańcy tego kraju podobni są do kasztelana, nad brzegami tejże samej rzeki mieszkają umiejscawiający czić prawo ludzkości, a nienawidzieć przestępstwa w tutejszym zamku domierzone. — Gdybyśmy raz wyszli z okręgu naszej zguby, tysiące rąk pospieszy z ratunkiem. — Sam król znany ze wspaniałomyślności nie uchyli ucha przed naszymi skargami, królowa zaś, jego żona, ze krwi Franków pochodząca, umiejac cenić prawa płci słabej i urodzenia, będzie łaskawą opiekunką przeciw napaściom kasztelana, z kądinąd będącago przedmiotem jej nienawiści, jak mi to wiadomo z ust samego kasztelana. —

Na co Laskarys tak odpowiedział:

— Stojący nad przepaścią nieszczęść, przejęty bojaźnią utraty przedmiotu życzeń całej młodości, czegoż nie przedsięwzmę, żeby byt mój poprawić? Jakaż nadzieja nie może być miłą temu, kto nic gorszego nie lęka się nad to co ponosi. — Rozkazuj Teofanio! życie moje tobie się należy. — Szczęśliwi, jeśli się nam uda zostać swobodnymi, lecz jeżeli inaczej stać się musi, umrę dla ciebie, żałując, iż nad nikczemne życie nic ci więcej poświęcić nie mogę. —

— Słuchaj mnie tylko, — ciszej mówiła Tsografia ale dosyć dobitnie jednak, żeby jej wy-

razów nie miał słyszeć szpieg zaczajony. — Za pięć dni ma się odbywać jakaś uroczystość u pana na Łęcznie, Granowski zostł także do niego zaproszony, jak tylko wyjedzie, ujęci na naszą służący przygotowują pojazd powszechnie w tym kraju używany i oczekiwać będą na nas przy moście, około jedynastej godziny przed północą; a dopiero kiedy już dozorczy godni swojego pana udadzą się na spoczynek, zmordowani okrucieństwami wywiebranymi na biedne ofiary ich tyraństwa, wykradniemy się zręcznie z zamku i siadłszy do pojazdu szybkim pędem pospieszymy do Lublina. Tameczny sąd królewski nie zaniedba wziąć nas w swoją opiekę, ponieważ jego członkami jak słyszałam jest wiele zacnych ludzi, stamtąd pod konwojem królewskiej straży udamy się na ewór Jana III. gdzie u nóg Maryi Kazimierzy błagać będę, ażeby się wstawiła do męża prosząc o sprawiedliwość i łaskawe dla nas względy: przyznajże teraz, czy to przedsięwzięcie źle jest osnowane? Lecz tymczasem oddal się Andronikos! i nie powracaj więcej, aż chyba po pięciu dniach w chwili stanowczej. Wiesz, że złość jest przezorną i podejrzliwą, a zewsząd szpiegi mogą nas otaczać. Idź więc, znoś mężnie trudy i upokorzenia jeszcze przez chwilę kilka, pamiętając iż swoboda będzie nagrodą wytrwałości.

Kochankowie po czułem pożegnaniu rozłączyli

się w zupełnem bezpieczeństwie. Gdy tymczasem robak zniszczenia zakradł się już w kwiat ich nadziei

Jak morderca towarzyszków swoich zwołujący kiedy sam jeden zbrodni dokonać nie może, cicho przekradał się Marcin Sliwek przez gęste szpale-ry do pałacu na pokoje kasztelana. Na takie doniesienie, wściekłość jego przeszła wszelkie granice. Chciwość, obrzydła miłość i pycha wzniosły nikczemny umysł i tak trunkiem już rozgrzany do najwyższego stopnia namiętności na wszelkie zbrodnie gotowej. W pierwszym zapale zamyślał zgubić tę, którą w despotycznym zaufaniu swoją nazywał. Lecz miałżeby utracić bogaty okup za greckiego księcia i narazić się na ciężką odpowiedzialność wiedząc, iż z powodu nieprzyjaźni królowej tudzież z innych względów, skargi niesprawie przezeń więzionych, bez wątpienia będą wysłuchane i surowo poszukiwane na nim? Po wielu namysłach rozpasanego gniewu wydał rozkazy marszałkowi dworu, a następnego ranka nie widać już było w Zawieprzycach dworzan o zmo-wę z młodymi Grekami podejrzanych. Nie chciał jednak, żeby się Teofania dowiedziała o zniszczonym jej zamiarze, póki sam w chwili oczekiwanej swobody nie pograży ją w bezdno nieszczęść, za to, że nim wzgardziła. — Wszelako nazajutrz przywołano do niego Laskarysa.

Czas już przystąpić do działania, powtórzył on z gorzkim śmiechem zjadłości słowa Teofanii.

— Tak jest, już jest czas, ażebyś potomku cesarzów Byzantyńskich pomyślał jak zapracować na kawałek chleba codziennie ci dawany. Nie do samych lekkich zatrudnień twoje silne ciało jest stworzone. — Twoje ramię wybornie robić może rydlem i motyką. — Mój dom jednak nie jest wart tak wielkiego zaszczytu, żeby podobni tobie książęta budowaniem jego zajmowali się.

— Godniejszą robotę wynalazłem dla ciebie, idź z twoimi dozorcami i przygotuj się do pracy, będziesz kopał nową mogiłę, nad którą wzniesie się trzeci wzgórek wyższy nad dwa inne, kiedy jama przez ciebie wykopana zapełni się dostatecznie trupami niedowiarków, — Odwróciwszy się zaś do dozorców dodał. — Żeby robota szła z pospiechem i żeby tenże mógł prędzej usłać miękką pościel dla swoich współtowarzyszów, niech go tak przystroją jak innych niewolników.

Zawrzała szlachetna krew Laskarysa, kiedy usłyszał te słowa, boleśnie wstrząsnęły się wszystkie nerwy, gdy wkładano nań kajdany, ale pamiętał na słowo dane Teofanii iż mężnie i cierpliwie wszystko będzie znosił póki nie nastąpi chwila oswobodzenia się: przeto rzuciwszy wzrok pogardy na swojego cienieżyciela odszedł dumnym krokiem w pośród otaczającej go straży.

Mijało już pięć dni nadziei i radości Teotanii lecz gdy słońce mając się ku zachodowi zbliżało oczekiwaną chwilę, a jeszcze kasztelan podług dawniejszego zamiaru nie wybierał się w gościnę, zaczęła być niespokojną. To uczucie zamieniło się w śmiertelny przestach, kiedy tegoż wieczora ujrziała Granowskiego w swoim pokoju. Podług zwyczaju zaczął on rozmowę o swojej miłości i zamiarach podzielenia z nią szczęścia. Ona zaś odpowiadała mu teraz nie tak stanowczo jak dawniej, owszem zamyślona, z sercem ściśnionem; mógłby ktoś obcy pomyśleć, iż chwiała się w swoim oporze i zaczynała być powolniejszą dla niego. Lecz kasztelan znając z gruntu uczucia w tej chwili duszę dziewicy napełniające, cieszył się i szydził razem z jej cierpień. A kiedy przez znaczny przeciąg czasu dosyć już namęczył nieszczęśliwą, rzekł do niej temi słowy:

— Jadę teraz na ucztę przez pana na Łęcznie dawaną, może masz ochotę przeprowadzić mnie trochę za zamek? wieczór jest piękny i powietrze nader łagodne.— Prędko i daleko uprzejmiej niż kiedykolwiek usłuchała Greczynka wezwania kasztelana, nie spostrzegając na jego ustach szyderskiego uśmiechu, co jej nieszczęście zapowiadał.

Kiedy wyszli oboje na dziedziniec zamkowy oświecony zorzą wieczorną i purpurowemi promieniami złocącą krużganki pałacowe i gdy Granowski

przyglądając się z upodobaniem swojemu dziełu, zatrzymał się nieco: w tej samej chwili spostrzegł, iż kilku namówionych dozorców, a na ich czele sam marszałek dworu, wlokło ku nim silnie pasującego się młodzieńca. Teofania od razu poznawszy, że to był Andronikos, nie zdołała przytłumić bolesnego wykrzyknienia wyrrywającego się z piersi i rzuciła się wstecz gwałtownie.

— Cóż ci się tak nie podoba? — pytał kasztelan Teofanii, — czy nie tak się stało, jak sama chciałaś? ale poczekaj, jeszcze i lepiej poprawimy się.

Tu dozorczy poczęli oskarżać upartego niewolnika, iż przez lenistwo i samowolność pracować nie chce i że chociaż tak jak mu rozkazano wykopał mogiłę nie bez westchnień i zgrzytania zębów, lecz gdy teraz należało na nią zatoczyć wierzchni kamień, upadł na ziemię i powiada, że już mu sił nie staje, i że tak aż nadto znieważył siebie wznosząc ów haniebny pomnik.

Kasztelan spojrzał groźnie na młodzieńca, ale on spokojnie i bez bojaźni stał z podniesioną głową.

— Jesteś niewolnikiem, — mówił Granowski, — to też za twój upór jak niewolnik odbierzesz karę. Dozorcy oćwiczcie go batogami!

Teofania chciała już nieczułego rozkazodawcę błagać o litość, ale Andronikos zapobiegając jej

wzruszeniu podniósł ręce kajdanami obciążone i wołając :

— Boże zmiłuj się nad nami! ze lwią wściekłością rzucił się na kasztelana, żeby już nasycić i tak nadto długo powściąganą zemstę. — Lecz nim sprawiedliwa kara dotknęła możnego zbrodniarza, dozorczy porwali nieszczęśliwego młodzieńca i łatwo potrafili go powstrzymać. — Straszna bladość pokryła policzki Granowskiego, a po chwili wyrzekł przez zęby cztery słowa:

— Prowadźcie go na śmierć.

Wtenczas to szlachetna duma opuściła dziewczę; z uczuciem, którego nazwać nie umiem jękiem objęła kolana okrutnika chcąc serce jego do litości pobudzić. — Ale on ją nazwał zdrajczynią i niewdzięczną, nieznającą własnego szczęścia, kiedy sama jedna chce się w świat puszczać ze zbiegłym niewolnikiem. — Teofania spostrzegłszy, że jej zamiar został odkryty i zniweczony wymówiła słowa co noc powtarzane przez widma obrazowe. — Również młodzieniec przestrzegał kochankę, żeby się nie poniżała daremnym upokorzeniem przed nikczemnikiem, chlubiącym się z własnych zbrodni, gdy im dobrowolnie sam wznosi pomniki. — Wtedy też pan zamku dał ów okrutny wyrok, że należy się, ażeby ten, co budynek zbudował, sam pierwszym był jego był mieszkańcem i że ów oblubieniec Teofanii będzie wę-

gielnym kamieniem trzeciego pagórka, mającego przejść oba inne swoją wysokością, gdy już mogiła trupami niedowiarków napełniona zostanie. Wkrótce potem Marcin Sliwek uprowadził nowo osądzanego i tegoż jeszcze wieczora ciężki kamień zapadł nad mogiłą skrwawionego i odrętwiałego trupa. — Wiadomo już czytelnikom co powiedziała Teofania kasztelanowi, wyciągającemu przestępne ręce w zarozumieniu, iż zyskał dla siebie wzajemność zadając śmierć rywalowi. — Wiadomo i to nakoniec, że kasztelan jak owe drapieżne zwierzę, co gdy raz krwi zakosztuje, krwi tylko strumieniem gasi pragnienie, zapomniawszy o wszelkich swoich namiętnościach, jedynie wściekłością opanowany, rzekł kilka słów swojemu po-wiernikowi, a już Teofania przez śmierć na wieki z kochankiem połączoną została.

ROZDZIAŁ XIV.

Nie wszystkie jeszcze zbrodnicze życzenia kasztelana lubelskiego spełnione zostały;— trzeci pagórek nie był napełniony ofiarami niełudzkości jego, owszem żaden muzułmanin nie podzielił mogiły z zamordowanymi. — Tymczasem nadeszła pora uwolnienia jeńców i pełnomocnicy Partii wspólnie z komisarzami rzeczypospolitej zjechali do Zawieprzyc dla układu względem ich okupu. — Turcy ledwie utaić mogli swój żal widząc, iż pod twardem jarzmem niewoli pana Jana śmierć tyle ich współbraci wypleniała, a nędza do tak opłakanego stanu przywiodła pozostałych. — I polscy także panowie, a pomiędzy nimi pan Ludwik Podhorodyski ze zgrozą wzruszali ramionami na okrucieństwa Granowskiego, tym tylko jedynym znakiem dowodząc niezadowolenia przeciwko człowiekowi znanemu ze swojego sposobu myślenia, iż gardził prawami ludzkimi i boskimi, i gotów był na nowe zbrodnie, jeśliby kto na własnej jego ziemi śmiało przyganiać jemu odważył się. — Za powrotem jednak do Warszawy nie utaili tego, co

widzieli: powszechny odgłos powtarzał ich doniesienia i gdy jeszcze skargi do Porty zachodzić zaczęły, król Jan pożałował łask i względów świadczonych przez się niegodnemu towarzyszowi broni, i dlatego też do manifesta przez Senat i Stany Rzeczypospolitej posyłanego kasztelanowi Granowskiemu, przyłączył własnoręczne pismo, w którym oświadczał, iż go uznaje być niegodnym łask królewskich i groził najsurowszą karą, jeżeliby on jeszcze kiedy dopuścił się postępuku przynoszącego hańbę dostojęństwu polskiego szlachcica i godności chrześcijanina. Drugie zaś własnoręczne pismo Króla zalecało sądowi województwa i samemu wojewodzie mieć zwrócone oczy na postęпки kasztelana, i jeżeliby raz jeszcze przynajmniej śmiał znieważać prawa, wówczas podług całej ich srogości postąpić z kasztelanem bez względu na jego osobę.

To upokorzenie, a szczególnie dany rozkaz sądowi, uważanemu dotąd przez kasztelana za przedmiot żartów i pogardy, zadało pysze jego głęboką i niezagojoną ranę. — Dopiero nienawiść rodu ludzkiego, i odludne życie dościgły najwyższego stopnia: unikany sąsiadów, przez Granowski pędził życie w murach Zawieprzyckich, jak ptak drapieżny przed światłem słońca kryjący się. — Ci tylko, których nędza lub spodlony sposób myślenia robił nieczułymi na doświadczane urazy, dzielali z kasztelanem przyjemności sto-

łowe, durząc się z nim codziennie na rozpustnych ucztach. — W czasie jednej z nich, kiedy kasztelan podług zwyczaju niepamiętny na niegodziwe swoje postęпки, wspominał tylko o zrobionych przez siebie usługach dla Rzeczypospolitej, złorzeczył królowi i współziomkom, poduszczona jego zarozumiałość dawnemi pochwałami, tak wysoko się wzniosła, że przedsięwziął Janowi Sobieskiemu odkryć przed całym światem nietylko to, co mu zarzucano, ale i coś więcej, czego ani król ani Rzeczpospolita dotychczas nie wie, gdyż tym sposobem dowiedzie,— jak mówił iż polski magnat panem jest w swoim domu. Kiedy ktoś z obecnych gości powiedział, że w Warszawie znajduje się malarz historycznych obrazów mający wiele roboty danej sobie od króla, Granowski z zapalem chwycił się tej nowiny i oświadczył, że będzie się starał wielkimi obietnicami przywabić do Zawieprzyc malarza niezbyt sownie wynagradzanego przez Króla, znanego ze zbytecznej oszczędności, i że temu artyście kaze mu wymalować obraz na urągowisko samego Sobieskiego.

Jakoż zaraz nazajutrz wysłano umyślnego do stolicy, i nad spodziewanie wielu osób myślących, że z powodu upowszechnionych wieści o kasztelanie, człowiek utalentowany i cudomiec nie odważy się przyjąć jego wezwania, malarz niezwłocznie przybył do Zawieprzyc.

Jan Granowski oczekiwał przybycia Andrea di Pella z całą niecierpliwością, jakiej tylko doświadczać może człowiek bezczynny, co dodad widział spełniane wszystkie swoje widzi mi się, a jednak zjawienie się malarza zrobiło w duszy jego przenikające uczucie, zwłaszcza, gdy zauważał, że di Pella surowy w swoich postępkach, mało mówiący, w żadnem zdarzeniu nie ugnie głowy z niewolniczą pokorą. — Można by powiedzieć, że to było przeczuciem, iż zemsta zabiegła za oczy bezpiecznemu zbrodniarzowi, zemsta mówię, bo chociaż kasztelan przewlókł ją na chwilę domierzeniem nowej zbrodni, ona jednak następnie z tem straszniejszą siłą uczuć się dała.

Wie już czytelnik, że ów malarz był to brat Teofanii, sprowadzony do Zawieprzyc przez sprawiedliwe nieba, karzące za krew niewinnie rozlaną.

Kiedy Heraklios Darukas wydoskonaliwszy się w sztuce malarskiej powrócił z Rzymu do Achai, siostry w domu nie było, rodzice poumierali, a majątki do faulii należące, były zabrane na skarb przez chbiwość Agi Tebańskiego. Napróżno on błagał o sprawiedliwy powrót własności przed sędziowskiem krzesłem Baszy Janiny; odpowiedziano mu, że ponieważ siostra dana w zakład Wielkiemu Wezyrowi sama się z więzienia uwolniła, przeto majątki jej rodziców do Porty należeć

powinny. Co większa, żeby ujść zasadzek grożących nadto natrętnie dobijającemu się swojej własności, Darukas zmuszony do ucieczki, przybył w okolice Maratonu, gdzie znalazł ojca i matkę Andronika pod równymże pozorem pozbawionych majątku i po stracie dzieci z upragnieniem oczekujących końca życia. Tu dowiedział on się od Greków ukradkiem dopiero zbliżających się do wysoce niegdyś czczonego księcia iż to było wymysłem możniejszych Turków co mówiono o Teofanii i Androniku. gdyż oni podczas zdobycia obozu tureckiego pod Wiedniem wpadli w ręce zachodnich chrześcijan i zostają zapewne pod władzą króla polskiego lub którego z tamiecznych panów. Wtenczas to młody Darukas zrobił niezmiennie postanowienie, iż sam postara się uwolnić najdroższe sobie istoty, kiedy z innej strony nie mógł nawet spodziewać się, żeby Porta miała pomyśleć o ich wymianie lub okupie. Czując zaś, że bez przyjaciół i pieniędzy puściwszy się w dalekie kraje, nie zdoła zwrócić uwagi na swoje zażalenia; przybrał wiadome nam zmyślane nazwisko i pod niem pośpieszył naprzód do Rzymu, a stamtąd do Paryża.

Że Paryż był już wtenczas miejscem, dokąd znakomitsi i bogatsi panowie z obu końców Europy zbierali się; tu przeto Heraklios Darukas miał nadzieję, bliższą powziąć wiadomość o swojej siostrze i jej narzeczonym, a razem zy-

skać przez pracę potrzebną ilość pieniędzy na ich okup. — W samej rzeczy oba te zamiary nadspodziewanie udały się mu, z dochodu bowiem za malowidła, starannie oszczędzanego, zebrał znaczną sumę, i dowiedział się także, że większa część wojennych jeńców wziętych w oborze tureckim, szczególnież zaś namiot Kara Mustafy ze wszystkimi bogactwami i ludźmi został własnością króla Polskiego. — Skoro więc Darukas upewnił się, że jego podróż nie byłaby bezużyteczną, udał się do Warszawy, jak to nam Saint Feliks opowiedział, kończyć swoje śledzenia i zbierać jeszcze cokolwiek pieniędzy. Nie trudno mu było przekonać się, iż których szukał, obecnie nie znajdowali się pod władzą króla, który zapewne na prośby ulubionego malarza wnet by im wolność powrócił. Już nawet Andrea di Pella poczynął wątpić o skutku swojej podróży, gdy wtem, znajdując się na zebraniu kupców greckich, znających po części jego i familią, posłyszał o podarunku zrobionym przez króla kasztelanowi Lubelskiemu i o postępowaniu tegoż kasztelana z jeńcami wojennymi. Ta powieść była pierwszym promykiem światła odkrywającym ciemną nitkę badań, domyślił się bowiem, że jego krewni należeli do owego orszaku osób, tak smutnemu losowi uległych. To też było powodem, iż wywiadywał się o sposobie myślenia pana Zawieprzyc i że postanowił

z nim koniecznie widzieć się. — Ale gdy z jednej strony nie bez przyczyny należało mu mieć baczenie, żeby czasem nie obwiniął niesprawiedliwie możnego pana w kraju gdzie sam był cudzoziemcem, to znowu przedsiębiorąc podać prośbę do króla i senatu o wysłedzenie greckich zakładników, sam nie wiedział czego się chwycić i w ciągłej niepewności zostawał. — Oddano mu tymczasem list Jana Granowskiego zapraszający go do Zawieprzyc.

W tymże liście ów magnat rozwlekłym stylem z dumną zuchwałością opisał przerażającą scenę, jaką malarz pędzlem swoim powinien był podać potomności. Łatwo mu było poznać z opisaną siostrę i przyjaciela; a wtedy zdawało się jemu, że głos nieba przez usta samego przestępcy powołuje go do zemsty; mimowolny popęd kazał mu przyjąć wezwanie kasztelana i wnet stałe zrobić przedsięwzięcie wysłedzić cały wypadek jak można najściślej, a następnie stosowne rozpocząć działanie, to jest: jeżeliby nadspodziewanie znalazł swoją siostrę żywą i niezhańbioną, również Andronika przy życiu, miał zamiar oddać za ich wolność wszystko co zebrał: jeżeli zaś przeciwnie, zbrodnia już dokonana, czego się domysleć kazał dany przedmiot obrazu, wówczas postanowił odkryć stan i nazwisko przed mordercą i jako mścicie

krwi niewinnie rozlanej, poddać się pod sąd Boski w rycerskim pojedynku.

Ponurość samego Kasztelana, odludne życie w zamku, szpiegujące spojrzenia marszałka dworu zawczasu zapowiadały mu straszną odpowiedź na pytania, jakich jeszcze dotąd uczynić nie ośmielił się, kiedy tymczasem dane ukradkiem potakujące skinienia niższej dworskiej czeladzi, okazana bojaźń przy wspomnieniu zaszłych dawniej wypadków a nadewszystko przesąd wieśniaków ze wstrętem unikających przybliżenia się do jednego z tak nazywanych „grobowców tureckich“ — wszystko to długo tajone podejrzenia prawie zupełnie w smutną pewność zamieniło.

Gdyby malarz, albo jego służący znali język krajowy, wszelk wątpliwość znikłaby od razu; jednakże dosyć było tego, co już wiedział, żeby żeby się przejąć najgorętszą nienawiścią dla pana zamku. Unikł też stąd ile mógł wszelkiego spotkania się z kasztelanem, nie przyjmował żadnych jego zaprosin i odsyłał nawet przysyłane sobie potrawy, bo nie mógł znieść tej myśli, żeby miał zaciągnąć jakiekolwiek obowiązki dla tego, co jak się zdawało był katem ulubionych mu istot. Bezustannie zajęty robotą i rzadko ze swojego pokoju wychodzący, kiedy już skończył malować nienawistne postaci śmiertelnego nieprzyjaciela i jego powiernika, starał się jak najwierniej wyobrazić

rysy niezapomnianych przez się osób, gdy tym sposobem gotował się do ostatniej próby, po której oczekiwał zupełnego przekonania.

Obraz został skończony, di Pella osłonił go i zaniósł z Saint Feliksem do małej sali, w zamiarze, ażeby za przybyciem kasztelana zerwać nagle zasłonę i dopiero z twarzy zdziwionego mordercy wyczytać krwawe jego przestępstwa. Kiedy więc uzbrojony szablą i parą pistoletów idzie los rozstrzygnąć szukając zadosyć uczynizynienia, jeśliby podejrzany wzbudził wątpliwość, iż wpływał na los zaginionych osób; już baczne oko Marcina Śliwka zauważało dziwne podobieństwo między malowidłem a osobami nigdy jak się mu zdawało, przez malarza niewidzianemi. Ta ważna okoliczność zaraz była doniesiona kasztelanowi, a słowa marszałka dworu ścisnęły sumienie grzesznika, jak szpony drapieżnego sępa. — Sądził, że już słyszy stąpanie zbliżającego się ducha zemsty lubo z żalem dodać wypada, że boleść dręczyć serce jego poczynająca nie była wcale skruchą lub pokutą, lecz raczej przedłużającą się nicią przestępstw, co go wiodła w piekielne czeluści.

Oznajmiono nakoniec, iż Włoch z ukończonym obrazem oczekuje na kasztelana w małej sali, Saint Feliks posłyszał zbliżanie się jego i powiedział o tem malarzowi, lecz obaj nie wiedzieli

że kasztelan nie był sam jeden i że kilku służących, gotowych spełnić wszystkie srogie rozkazy pana, potajemnie weszło do przyległego pokoju, łatwo się domyślić, iż Marcin Śliwek był także z nimi.

Jak tylko wszedł kasztelan do sali, wnet di Pella zdjął zasłonę z malowidła i przybliżył się do pana Zawieprzyc z ponurem, przeszywającym spojrzeniem, jak ów anioł mający sądzić duszę umierającego bezbożnika, i stało się, że chociaż kasztelan był przygotowany widzieć obraz swojego potępienia, jednak na jego widok pośkonił się w tył i zasłaniając bledniejące policzki obiema rękoma, zawołał wyjąłym głosem:

— O! czegoż chcecie odemnie duchy zamordowanych! otoż jeszcze nie dzień sądu ostatecznego, żeby umarli z grobów powstałi, a owo krwawe odbicie światła jest obrazem piekielnego płomienia jakie mnie odrzutka bożego zewsząd otaczają.

Poczem prędko odzyskawszy przytomność umysłu, zbliżył się do malarza spoglądającego nań bez najmniejszej litości, i zmuszając się do żartu podał mu worek ze złotem.

— Nie pochlebnie, rzecz, wystawiłeś mnie panie Włochu, przekonajże się teraz, że i nagroda szczupła bywa, jeżeli obraża próżność dającego, bierz te pieniądze i opuszczaj spieszenie Zawieprzycę, zapomnij, mówił on dalej dobitnie, zapo-

mniej, jakie wrażenie zrobił na mnie twój obraz tajemniczy, lecz strzeż się, ażeby nikt nie dowiedział się tego, co tobie odkryć lub dostrzedz udało się. — Strzeż się mówię, bo jeżeli masz o budzić gniew Jana Granowskiego, lepiejby ci było gdybyś się nigdy nie rodził.

Wtenczas Heraklios Darukas rzucając mu pod nogi nikczemny podarunek, oświadczył, że jest bratem haniebnie zamordowanej, jak on to samo zeznał przed chwilą przejęty boleścią sumienia i teraz dopiero wyzwiał go na pojedynek. Co tylko było niegodziwego w kasztelaunie, nieposkromiona zuchwałość, zemsta, nienawiść i pogarda ludzi wszystko razem w nim się ozwało, tupnął nogą o ziemię, a w okamgnieniu służalcy tego kata wpadłszy do sali rozbroili szlachetnego młodzieńca, nigdy tak podłej zdrady niespodziewającego się Ale Darukas nie pomny na męczeństwo co go czekało, przeklinał jego i ród mówiąc owe okropne słowa, jakie podczas nocnych zjawisk słyszał synowiec kasztelana spółnie z plebanem Firsjskim.

O północy zaś odjęto kamień, mogiłę dwojga Greków przywalający i Marcin Sliwek wepchnął do niej książęcego syna, żeby tu powolną i męczeńską śmiercią umarł z głodu nad ostatkami zamordowanych drogich mu istot

Od tego czasu zdaje się, iż zemsta bożka

ścigała ciągle pana Zawieprzyc przez ponawianie co noc aż do jego śmierci, sceny dokonane w zamku przestępstwa wyobrażającej, nawet i następcą Marcina wielokroć był świadkiem tego zjawiska w obłęd wprowadzającego.

Tyle jest powieści wyciągniętej z znznań Marcina Sliwka, tudzież z rękopismów w domu jego znalezionych. Co następuje, są to znowu słowa kanonika Stefana Odonicza.

ROZDZIAŁ XV.

Ksiądz Pleban Firlejski tak dalej rzecz prowadzi:

Kiedy już Marcin Śliwek zakończył swoje zeznania, wszyscy słuchacze zdumieni zostali pasmem niegodziwości przed nimi teraz odkrytych szczególnie zaś pan starosta, którego sercu mocno dolegało owo piętno cały ród jego każące; mniej jednak od wszystkich zdziwił się pan Ludwik Podhorodyski, oświadczył bowiem, że po części tego wszystkiego oddawna już się domyślał.

Zgromadzeni sędziowie surowo przestrzegłszy osiwiąłego złoczyńcę, żeby wszedł w siebie i przygotował się zdać w krótkim czasie rachunek ze swoich zbrodni przed Boskiem obliczem wezwali mnie ażebym jako kapłan dał mu należyte napomnienie; ale on w czasie sądowego aktu powróciwszy do swojego zuchwalstwa i zatwardziałości serca, nie tylko przeciwko mnie miotał słowa obelżywe, lecz jeszcze zwracając się do pana Teofila wołał z szyderstwem:

— Cóż, jak się podoba Jaśnie Wielmożnemu

pauu to, czego się dowiedziałeś? nieprawdaż to była rzecz arcypotrzebna, żebyś hańbę swoją i rodu przed światem na jaw wystawił, tudzież, żebyś dowiedział się, że jesteś właścicielem przeklętych majątków i że sam z całym pokoleniem przeklętym jesteś na wieki? Poczem obróciwszy się do sędziów, tak dalej mówił:

— Ponieważ raz już zaczęło się szczere zeznanie, niechże prawda w niczem poszlakowaną nie będzie; dowiedźcie się przeto prześwietni deputowani sądu, że ów Jaśnie Wielmożny Pan, siedzący tu na krześle z wybladłą twarzą i drżący na wspomnienie zbrodni przez niego samego z grobu wywołanych, może się i sam poszczycić własnością bogactw aż nadto nikczemnym sposobem nabytych: oto bowiem ta toaleta i ta skrzynka złożone przed wami zamykają klejnoty greckiej dziewczicy i jej narzeczonego, tudzież pieniądze malarza, bo zmarły pan kasztelan raz stawszy się właścicielem tych bogactw, wolał je raczej do swoich skarbów przyłączyć, niżeli co innego z nimi przedsięwziąć, a tym sposobem stryj Jaśnie Wielmożnego starosty nie tylko był mordercą, ale i prostym złodziejem.

Na te słowa wymówione z radością czarta co się z cudzej biedy weseli, Teofil Granowski powstał nagle ze swego miejsca i przytłumionym głosem powiedział do współzasiadających:

— Zaklinam was panowie, kaźcie tego odrodka precz stąd odprowadzić, bo już mi braknie sił znosić dłużej jego obecność.

Gdy zgodzono się na jego żądanie, nowy marszałek dworu wspólnie z Saint Feliksem porwali go za ramiona, chcąc go wyprowadzić z sali, lecz on nim wyszedł, zawołał jeszcze do pana starosty:

— Rozważ dobrze co masz przedsięwziąć, bądź ostrożny, bo być może, że za tę siwą głowę odpowiesz własnym honorem i utratą znacznej części bogactw!

Po wyjściu winowajcy naradzano się wspólnie, coby przedsięwziąć wypadało w tak nadzwyczajnej okoliczności. Pan Podhorodyski i pan Chomieniecki byli tego zdania, iż należało o wszystkim donieść Jaśnie Wielmożnemu panu wojewodzie. Lecz jeśliby zgoda jego nastąpiła, dalszego toku sprawy zaniechać: obawiali się bowiem hańby na tak świetną familią i na teraźniejszego jej przedstawiciela niewinnie spaść mającej. Tem łatwiej mogli obstawać za swoim zdaniem, że wiedzieli, iż pan Teofil w każdym razie gotów będzie dobrowolnie i bez sądowego przymusu powrócić nieprawnie nabyte dobra tym, do kogo należą, lub jeśliby tego niemógł spełnić, wtedy użyje ich jak przystoi na szlachcica i prawego chrześcijanina. Śliwka zaś postanowiono uwięzić aż do

śmierci, co tem łatwiej dokonać można było, że pan starosta sam podczas ostatnich sejmików zostawszy wybrany na podkomorzego województwa w swojej własnej osobie, przez ten nowy urząd wysoką posiadał władzę.

I ja zupełnie dzielając zdanie wspomnianych panów, starałem się wspólnie z nimi namówić Jaśnie Wielmożnego starostę żeby przystał na to co uchwalono: lecz chociaż bardziej niż kto inny miał powody życzyć podobnego końca, jednak się nie zgodził z nami i nastawał, żeby prawa krajowe otwarcie rzecz sądziły, chociażby przez to miał postradać całe dziedzictwo po stryju spadłe, a nawet i ojczyste dobra. Tu mnie on dopiero przypomniał to, co mu sam niegdyś powiedziałem, że kiedy ludzka sprawiedliwość nie dosięże winowajcy, wówczas zemsta nieba domierzenie kary na siebie przyjmuje i z tego powodu miał mi za złe, że namawiam go, aby z osobistych pobudek przyjął na siebie część przestępstw kiedy sam jestem świadkiem całej ich okropności również jak kary za nie spadłej. Musiałem zamilczeć przejęty poszanowaniem dla tego, co mi tak swoją myśl tłumaczył; a wtedy i sędziowie odstąpiwszy pierwszego zdania, poświęcili dni kilka na przygotowanie statum causae jak do podania pod sąd wyższej władzy.

Tymczasem z rozkazu sądu przeprowadzono

Marcina Śliwka do podziemnego więzienia, o którym pan Joannes Nepomucenus Granowski przy budowaniu zamku nie zapomniał. Przełożony domu, mający poruczenie nosić żywność dla swojego poprzednika, uwiadamiał codziennie, że Śliwek ciągle jest wesołym i dobrej myśli, gdyż stale trwa w nadziei, iż nowy pan Zawieprzyc rozważwszy rzecz całą postara się o zakończenie sprawy we własnym domu i potrafi nakłonić do sekretu sędziów, sąsiadów i przyjaciół swoich. Ale kiedy przekonał się, że jego nadzieja jest płonną i gdy mu zapowiedziano, że wkrótce przeprowadzonym będzie do wieży sądu grodzkiego w Lublinie, postanowił uniknąć przeczuwanej kary, albowiem tegoż samego ranka, kiedy go mieli wywieźć z Zawieprzyc, znaleziono jego trupa zawieszzonego w więzieniu, a niegodziwa dusza uleciała na miejsce sądem odwiecznego wskazane.

To wydarzenie jakkolwiek straszne i okropne w samym sobie, nie przeczę, iż z powodu obecnych okoliczności prawie wesołem dla mnie wydało się. Tu znowu deputowani sędziowie ponowili przed panem Teofilem dawniejsze oświadczenia nastroczając uwagę, że gdy teraz ostatni z przestępców umknął z pod ramienia sprawiedliwości, przeto ogłoszenie zaszłych wydarzeń zaszkodzi tylko szlachetnemu domowi Granoviorum, a w rezultacie żadnego nie przyniesie pożytku. — Pan Teofil

zgodził się nareszcie z ich wolą, będąc do tego nawet przez pana wojewodę usilnie nakłanianym. Zniszczono przeto sporządzone akta, a całe dzieło przynajmniej przed oczyma ludzkiemi, w wieczną poszło niepamięć.

Wkrótce potem łaskawca i szanowny mój przyjaciel do pieniędzy malarza i drogich kamieni dwojga nieszczęśliwych ofiar przyłączywszy wielką sumę z własnych majątków, przesłał razem do posła rzeczypospolitej przy porcie będącego, prosząc o oddanie tego wszystkiego rodzicom Andronika Łaskarysa, jeśliby ci przy życiu jeszcze zostawali. Co gdy następnie rzeczywiście spełnione zostało, wtedy kazał wydobyć trzy trupy Greków, każdemu z osobna sporządzić trumnę i na czas przenieść do parafialnego kościoła w Zawieprzycach. Nad ich zaś pierwszą mogiłą wzniesiono trzeci pagórek również wysoki, jak obok stojące grobowce tureckie, i na jego wierzchołku, za pozwoleniem Jaśnie Wielmożnego biskupa lubelskiego zbudowano kaplicę ze złotym greckim krzyżem i tu dopiero napowrót do nowego grobu przeniesiono spróchniałe ostatki zamordowanych, gdzie przez wieki będą uśpieni, póki głos trąby na sąd ostateczny ich nie powoła.

Na czas niejakiś powrócił do zamku pokój pożądany. — Sądziliśmy wszyscy, że niespokojnym duchom stało się już zadosyć. — Pan Granowski

odzyskał siły i opływał w czerstwości i zdrowiu, lecz gdy dzień św. Bartłomieja znowu nadszedł, a wraz z tą nocą zaczęty nie ustawał wciąż przez dwanaście nocy, z żalem przekonać się musiał, że nieszczęściom jego końca nie będzie, dopóki wszystko się nie spełni co było przepowiedziane. Smutek osiadł jego duszę i nie bez żalu postanowił opuścić ojczyznę, gdzie go smutne tylko dręczyły wspomnienia, rozdawszy przeto wiele bogactw na kościoły i klasztory puścił się w mojem towarzystwie do Warszawy, chcąc otrzymać u króla Augusta pozwolenie na wyjazd za granicę, co mu też król dozwolił, lubo bardzo niechętnie. Wtenczas po raz ostatni ukochany pan Teofil z uczuciem prawdziwej przyjaźni i z serdecznem wzruszeniem pożegnawszy się ze mną na całe życie, jak sam mówił i jak się istotnie sprawdziło, pospieszył gdzieindziej nowych nieszczęść doświadczać.

Ale teraz wszystko już się skończyło; dziedzictwo Jana Nepomucena Granowskiego przeszło do innej rodziny, przekleństwo nad domem jego ciężące oddalone zostało. — Niebieska radość pojednała umysły zamordowanych z niewinną ofiarą za cudze grzechy, a kości ich spoczywają w mogiłach; pokój—że wam popioły, wszak i nad mojemi wkrótce także ktoś powie: requiescat in pace.

K O N I E C.

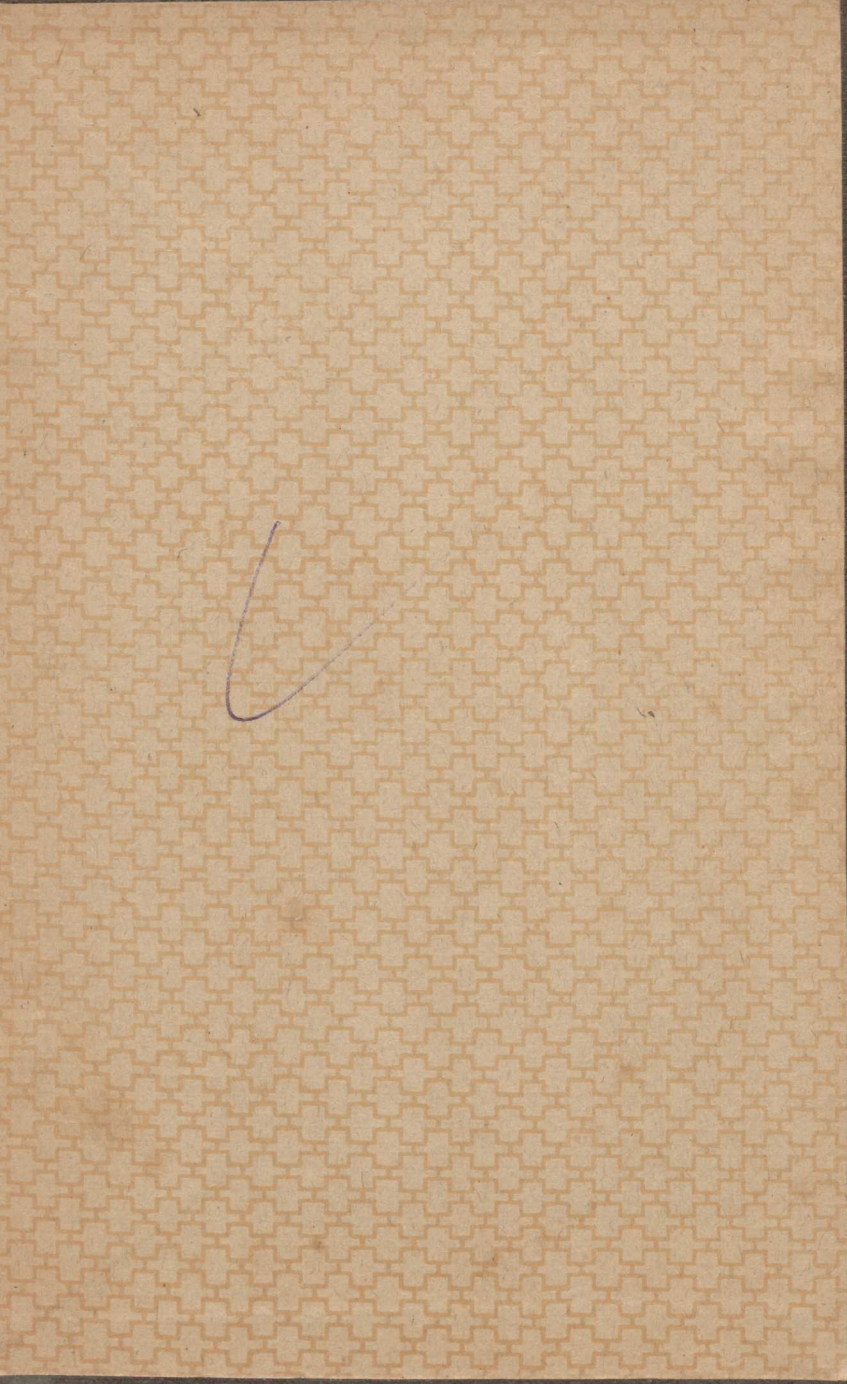
9W-5287

B-3413

4013

Bibl. 178720

M. Spółnik.



Miejska Biblioteka Publiczna
w Tarnowie

CWoTiR



0230-005287-00